

Ryszard Biberstajn

Język i porządek rzeczy

Do dyżurnych tematów podejmowanych przez krytykę literacką należy kondycja współczesnej poezji, zwłaszcza jej recepcja – społeczny, czytelniczy obieg. Dominuje w tych tekstach ton poczucia bezradności, ustawicznego i pogłębiającego się kryzysu. Na ten ostatni składają się różne czynniki, w tym powszechny konsumpcjonizm, pauperyzacja kultury, oddziaływanie mediów, które lansują kulturę lekkostrawną, by nie rzec – kiczowatą. Znakiem tego, jakże symbolicznym, miał być koncert w Auli UAM króla disco polo 20 lutego br., który pod naciskiem środowiska muzyków, Młodzieżowej Rady Miasta Poznania i mieszkańców został odwołany.

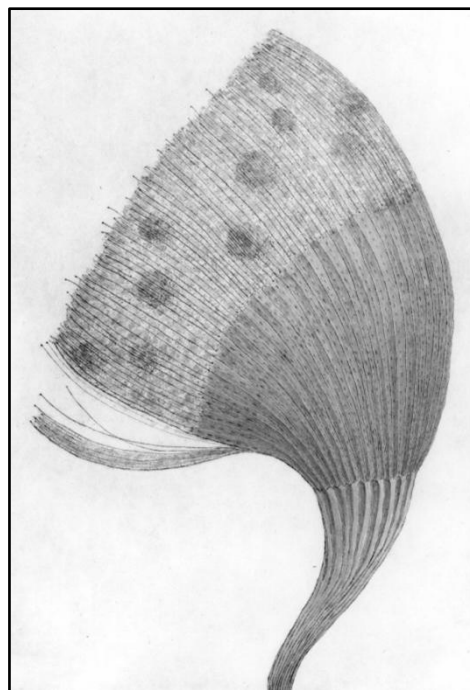
W atmosferze tworzonej przez opinie o głębokim kryzysie poezji ma miejsce jednak – paradoksalnie – prawdziwy wysyp tomików poetyckich, których ilość trudno zliczyć. Niemal każdy może dziś wydać książkę (z ISBN-em albo i bez). Każda instytucja (z klubami osiedlowymi włącznie) publikuje lokalnych twórców, z których wielu nie przekroczy granic swojej gminy. Tych ważniejszych książek poetyckich rocznie w Polsce powstaje kilkadziesiąt (i to pierwszych wydań). Rodzi się zatem pytanie, na jakim świecie żyją poeci, że zajmują się czymś tak z gruntu – wydawałoby się – nieużytecznym, jak pisanie wierszy i ich wydawanie, skoro – rzekomo – nikt ich nie chce w rzeczywistości zdominowanej przez praktycyzm i pogoń za sukcesem (zgoła nie-poetyckim)? Komu przyznać się, że jest się poetą, by nie wyjść na dziwaka bujającego w obłokach? Wreszcie – co może poezja, jeśli staje naprzeciw czołgom, totalitarnym rządcom i całemu zła świata? Przecież nie obali rządów, nie zakończy wojny, nie powstrzyma pandemii...

To wszystko pytania, które wynikają ze stereotypowego postrzegania roli poezji jako niszowej działalności literackiej pięknoduchów. Tak rozumiana poezja rzeczywiście może wydawać się zbędnym bibelotem, w najlepszym wypadku fanaberią lub zmorą szkolnych analiz, a potem omijaną szerokim łukiem.

A przecież poezja jest jednym z ważnych narzędzi poznawania rzeczywistości. Jeśli nie w sensie prosto rozumianej epistemologii, to przynajmniej w zakresie rozpoznawania akcentów, oddzielania spraw istotnych od mniej ważnych. Jednym słowem ma szansę porządkowania tego swoistego szumu informacyjnego, w jakim jesteśmy zanurzeni. Wrażenie chaosu jest szczególnie dotkliwie w dobie Internetu.

Na popularnym kanale YouTube można na każdy temat wysłuchać setki podcastów, których treść często się wyklucza. A wszystkie mówią o tym, jak żyć, by było lepiej. Wachlarz tematyczny jest ogromny, więc można dowiedzieć się, jak się odżywiać (albo i nie), jak się modlić (albo nie modlić), jak uprawiać ogródki (i seks), jak przeorać własną duszę, by narodzić się na nowo... Doprawdy wyliczanie tego, czym obdarzają nas youtuberzy (och, cóż za nowa rola społeczna!), nie ma większego sensu, gdyż mnogość spraw jest tu przeogromna. Właściwie wystarczyłoby sformułować dowolną tezę (np. że jedzenie owoców sezonowych zabija albo że ziemia może okazać się płaską), a znajdziemy też tezy uzasadnienie. To rozchwianie wizji świata prowadzi do rozmnożenia w trybie geometrycznym prawd o rzeczywistości, utwierdzenia we własnych przekonaniach, a zatem spolaryzowania. Tkwiąc we własnych bańkach wypełnionych koncepcją życia, potwierdzoną przez „autorytety”, z trudem dopuszczamy do świadomości istnienia innych baniek. Narasta wrażenie chaosu, entropii; coś, co do niedawna wydawało się zwarte i jako tako pewne, zaczęło się rozchodzić w szwach.

Nieprawdą jest, że ów stan neurotycznego rozedrgania z powodu niemożności ogarnięcia spraw podstawowych jest tylko „wynalazkiem” obecnego czasu. Przecież było podobnie już wcześniej.



Jeśli dzisiejsze poczucie dezorientacji w bałaganie, którego przecież sami jesteśmy sprawcami, kwalifikuje się jako doświadczanie kryzysu (na dodatek z widmem sztucznej inteligencji w tle), to warto pamiętać, że w dziejach cywilizacji, a także w najnowszej historii Polski, takich krytycznych momentów było wiele. Chociażby rozbiory, wojny, dominacja obcych systemów – to czynniki, które stymulowały twórczość literacką, w tym poetycką. Oddziaływanie to było zresztą obopólne, bo poezja kształtowała podstawy naszego myślenia, wartościowania, także relacji. Romantyczny paradygmat (mniejsza z tym, czy to dobrze, czy nie) wytyczył na całe pokolenia ścieżki naszej mentalności. Każdy z następnych przełomów – fin de siècle, II wojna światowa, czy też powojenne zawirowania i przemiany polityczne, społeczne, kulturowe – odcisnął się na kształcie polskiej poezji, a ta z kolei formowała nasz stosunek do rzeczywistości. Przede wszystkim jednak porządkowała nieład, w jakim ta rzeczywistość była pogrążona.

Może to ryzykowne stwierdzenia, ale czy mielibyśmy romantycznych wieszczów, gdyby nie romantyczne przesilenie i rozbiory Polski? Czy mielibyśmy Kamila Krzysztofa Baczyńskiego, Tadeusza Gajcego, Andrzeja Trzebińskiego i innych Kolumbów, gdyby nie tragedia wojny i „spełniona Apokalipsa”? A potem, gdy wszystko zostało już skutecznie przewrócone do góry nogami, gdy pojęcia przeciwstawne stały się równoznaczne, człowiek i zwierzę, dobro i zło tym samym się wydawały, pojawił się jeden z „ocalonych”, by ten stan „po końcu świata, po śmierci” jakoś na nowo uformować, nadać mu znaczenie i sens. W tym względzie twórczość Tadeusza Różewicza spełniała (i nadal pełni) jedną z najważniejszych ról w przywracaniu powszechnej świadomości porządku świata po powojennej traumie, a potem w trakcie cywilizacyjnej degeneracji. Oczywiście Różewicz jest tu tylko czytelnym przykładem, bo przecież poezja – przynajmniej ta ważna – jest z jednej strony świadectwem swego czasu, a z drugiej – czynnikiem wpływającym na zbiorową świadomość.

Jednym z pisarzy, którzy najwięcej refleksji poświęcili istocie poezji, był noblista z 1987 r. Josif Brodski. Wystarczy sięgnąć do jego esejów i wywiadów z nim, by się o tym przekonać. „Jeśli poeta ma jakiegokolwiek zobowiązanie wobec społeczeństwa, jest to zobowiązanie, aby pisać dobrze. Gdy nie spełnia tego obowiązku, osuwa się w przepaść zapomnienia. Społeczeństwo, z drugiej strony, nie ma wobec poety żadnych zobowiązań. Będąc większością na mocy definicji, widzi przed sobą inne możliwości niż czytanie wierszy, choćby najlepiej napisanych. Ale nieczytanie wierszy sprawia, że społeczeństwo osuwa się na taki poziom wyśłowienia, na którym staje się łatwym łupem demagoga lub tyrana.” („Sprawić przyjemność cieniowi”, tł. Stanisław Barańczak). A jeśli słowa są odbiciem naszych myśli, to mówimy właśnie tak, jak myślimy – i odwrotnie – myślimy stosownie do języka, jakiego używamy. Co więcej; słowo ma moc stwarzania (nowych idei, nowych rzeczywistości...), zgodnie zresztą z tradycją judeochrześcijańską, w której Słowo równoznaczne z Logosem miało kreacyjny potencjał. Wszak Bóg stwarzał przez nadanie nazwy. W Księdze Genesis „Niech się stanie” powodowało „stawanie się”. Wyłanianie się z Niczego czegoś, czemu dano wyraz, postępowało w regularnym porządku bytów.

Niejako w ślad za tym warto tu przytoczyć fragment innego eseju Brodskiego „Poeta a proza” (tł. Adam Pomorski): „Poezja [...] to najwyższa forma istnienia języka. [...] W idealnej sytuacji język przeczy tu jednak własnej masie i prawom ciężenia, zwraca się wzwyż – czy w bok – ku temu początkowi, w którym było Słowo. W każdym razie jest to ruch języka w rejony przed(nad)gatunkowe, czyli w te sfery, w których się począł.”

Dziś, w epoce powszechnej technicyzacji i tzw. postępu, twierdzenie, że poeci są zawieszani u warg Boga, brzmi dość anachronicznie. Podobnie opinia o zbawczej roli poezji. A jednak, przy głębszej refleksji, znajdziemy w nich odniesienia z jednej strony do tradycji biblijnej, a z drugiej do racjonalnych sugestii Brodskiego. Współcześni poeci polscy, będący już po doświadczaniu Nowej Fali i wcześniejszych lingwistów, widzą wyraźnie, że na język liryki przemożny wpływ wywiera frazeologia i słownictwo odległe od tradycyjnie pojmuwanej literatury. Oddziaływanie to jest obopólne, a w przypadku Nowej Fali szczególnie jaskrawe. Inny byłby Stanisław Barańczak, inny Adam Zagajewski czy Ryszard Krynicki, gdybyśmy tej specyficznej przenikalności nie brali po uwagę. To jeszcze jeden przykład tego, że poezja jest zanurzona w języku, z niego czerpie i zarazem go wzbogaca. Nie chodzi tu przecież tylko o proste rozumienie argot (wszelkiego rodzaju kolokwializmów), co kojarzone bywa zwłaszcza z prozą Louisa-Ferdinanda Céline’a, a u nas z poezją choćby Andrzeja Bursy czy tzw. pokolenia bruLionu (z Marcinem Świetlickim na czele). Chodzi raczej o to, że język jest oczywistym żywiołem poezji, jej tworzywem i narzędziem jednocześnie. Czymś na wskroś racjonalnym i transcendentnym. Poeci na ogół taką koncepcję języka poetyckiego akceptują, co karmi ich nieco narcystyczne ego. Dawno nie spotkałem wypowiedzi tak bardzo pojemnie ujmującej tę dwoistość, jak słowa innego noblisty (z 1990 r.), meksykańskiego poety Octavio Paz: „Ustami poety mówi – podkreślam m ó w i, nie pisze – i n n y głos. Jest to głos poety tragicznego i głos błazna, głos samotnej melancholii i święta, uścisku kochanków i Hamleta z czaszką, głos ciszy i tumultu, szalonej mądrości i mądrego szaleństwa, szept wyznania w alkwie i poszum tłumy na placu. Słuchać tego głosu to tyle, co słuchać samego czasu, czasu mijającego, który mimo to powraca w kilku krystalicznych sylabach.” (Z przemówienia wygłoszonego z okazji wręczenia mu przez François Mitterranda nagrody im. Alexisa de Tocqueville’a).

Przypomina mi się jeden z najbardziej niezwykłych wierszy Bolesława Leśmiana (a czyż pisał on zwykle utwory?) pt. „Dziewczyna”. Jak rozbieranie cebuli i zdejmowanie kolejnych jej warstw, tak tutaj ma miejsce rozbieranie rzeczywistości (złudzenia, somnambulicznego transu) z kolejnych jej elementów, parawanów i masek, by dotrzeć do jądra rzeczy, do czystego głosu właśnie. Przewrotna uroda tego wiersza polega m.in. na tym, że nigdy nie będziemy mieli pewności, czy ten głos jest realny, czy też pozostaje tylko kolejną warstwą iluzji... Poezja przecież nigdy nie rości sobie prawa do jednoznaczności.

Przywołany już wcześniej Brodski do języka miał szczególny stosunek. Mówił, że język (rosyjski, w którym pisał większość utworów poetyckich) jest jego ojczyzną. On, wygnaniec z totalitarnej, komunistycznej Rosji, Rosjanin w Ameryce, nosił swoją rosyjskość w domenę języka. Analogia z Czesławem Miłoszem wydaje się oczywista.

W czasach fatalnej „demokratyzacji” poezji i twórców, którym wydaje się, że są poetami, stosunek do języka (jakże często lekceważący) jest sprawą fundamentalną. Można by rzec, że poziom świadomości językowej okazuje się podstawowym (choć nie jedynym) warunkiem działalności literackiej. Wydaje się, że nie ma lepszej metody na kształtowanie się tej świadomości, niż czytanie. Wielokrotnie jednak zdarza mi się słyszeć wypowiedzi, zwłaszcza młodych autorów, że nie czytają innych (w tym klasyków), by się nikim ani niczym nie sugerować; by ich własna twórczość pozostała „czysta” i „nieskażona” obcymi wpływami... Na takie deklaracje trudno znaleźć sensowną ripostę, gdyż brakuje tu jakiegokolwiek poziomu czy płaszczyzny porozumienia. Chyba że podeprzemy się zdaniem Jorge Luisa Borgesa, skądinąd często posługującego się paradoksem: „Niech inni chępią się stronicami, jakie napisali; mnie napawają dumą te, które przeczytałem.”

Źródło: „Na pulsie”, strona Poznańskiego Oddziału ZLP, 27 VII 2023.



Andrzej Sikorski

* * *

małej Antosi Biedunkiewicz

jak tam u Boga – pytasz

świętoludnie z błogościskiem
spokojnie jak w kołędzie

czy z kropką na skrzydle biedronki
po zaliczonym powrocie
na ziemię

Sultan Catto

Ukryte lokalne zmienne w strefie marzeń sennych

Ponieważ mam zwyczaj
zasypiać na stacjach metra
przemierzałem miasto Nowy Jork
z północy na południe
w szalonym śnie
wśród rytmicznych
uderzeń bębnow.
Zatrzymałem się na Coney Island
by kupić, co trzeba:
bajgla i café latte
w kawiarni u Zuckera,
spotkałem tam grupę literatów,
przysiadłem się
by porozmawiać z nimi o następstwach
twierdzenia Stewarta Bella
Zaczepliłem po drodze o księgarnię
gdzie nabyłem „Coney Island of the Mind”
Ferlinghettiego
i wskoczyłem ponownie do metra.
Odplątałem znów
czytając jeszcze raz znajome strofy,
na ostatnim przystanku przy Pelham Bay Park
zbudziłem się śniąc cudowny sen,
a nie była to moja stacja.
Gdy wysiadłem
i szedłem przed siebie na przelaj
byłem jak ślepiec z poematu Rainera Marii
Rilke
dookoła którego gwiazdy wirują w bańce
czasu
w nieporuszonym centrum własnych
konstelacji.
Nowy Jork dryfował,
pał naprzód
szpanował
zaplątany w sieć metra
i czarnych dziur w mojej strefie marzeń
sennych

tłum. Danuta Zasada

Sultan Catto (USA/Turcja) – dwujęzyczny turecko-amerykański poeta. Wydał 9 tomów poezji w 28 językach. Nominowany do nagrody Pushcart (USA). Laureat Europejskiego Medalu w dziedzinie poezji i literatury (Homer Medal 2018), medalu (EASAL) przyznanego przez senat Francji (2020) Medalu Sztuki Literackiej w Komunikacji Międzykulturowej (2020) w Nowym Jorku. Od 25 lat prowadzi cykl poetycki w Club Yale NYC. Jest profesorem fizyki matematycznej i dyrektorem wykonawczym studiów doktoranckich i programu fizyki w CUNY Graduate School. Profesor Uniwersytetu Rockefellera w NYC. Wykładał na uniwersytetach Yale i Columbia, jest członkiem wielu międzynarodowych ciał doradczych ds. matematyki i fizyki. Zdobywca wielu międzynarodowych nagród i wyróżnień.

Anna Kokot-Nowak

Uroboros w panoptikonie

Na początku 2080 roku był bajzel. I trochę bulgoczącego błota. Wielki bajzel. I trochę bulgoczącego błota. No dobrze, bądźmy szczerzy: gigantyczny, monumentalny bajzel. I trochę bulgoczącego błota. Kula ziemską nie wyglądała już jak miękka, skórzana piłka, jaką kopali ongiś na podwórkach chłopcy na całym świecie. Przypominała raczej podgnitego pomidora, wywróconego na lewą stronę, któremu Wielki Demiurg rozkazał istnieć w tej nowej, nieznośnej przecież i bolesnej formule. To, co dotychczas było na zewnątrz świata – miasta, arterie ulic, slumsy Bombaju, oceany, wieżowce Dubaju, wieża Eiffla, Kreml, Pałac Kultury i Nauki w Warszawie – wszystko zwinęło się nagle niepostrzeżenie i wniknęło do wnętrza kuli ziemskiej. Na zewnątrz pozostała tylko brudna, poszarpana ziemia i gorąca magma, która szybko zastygła, zabijając – jakby mimochodem, dwa miliardy ludzi. Wcześniej trzy miliardy ofiar pochłonięto przewracanie się kuli ziemskiej na nice. Została garstka ludzi – nie ludzi, bo i oni nie wyglądali zbyt reprezentacyjnie. Powiedzieć o nich, że nie byli urodziwi – to nic nie powiedzieć. W zasadzie bowiem byli odrażający, obrzydliwi w swej fizjonomii i... tacy obnażeni. Kiedyś mówiono by o nich, że mają serca na dłoni, teraz zaś trzeba byłoby jeszcze dodać: „I flaki na wierzchu...”. Ich też jakiś wewnętrzny przymus wykręcił całkowicie na lewą stronę i oto żyli zupełnie na odwrot – wywrócenie na nice, na rewersie siebie.

Wydawało się, że ktoś wywiercił na szczycie ich czaszek maleńki, tyci otworek, przez który wyciągnął miniaturowy sznureczek. Jedno pociągnięcie – i voilà! Człek niepostrzeżenie dla samego siebie odwracał się cały na lewą stronę. Skóra, ubranie wierzchnie, bielizna, obuwie, nakrycie głowy – wszystko lądowało w tajemniczym „wewnątrz” przekreślonego człowieka, a jego wszystkie organy – dotąd szczelnie zakryte przed ludzkim wzrokiem, nagle stawały się elementem zewnętrznego. Mężczyźni wybrzuszali na światło dzienne swoje otłuszczone żołądki, obrzęknięte wątroby, cerowane wyrostki robaczkowe, pęczniące gazami i niezdrowym jedzeniem jelita, otumanione alkoholem, narkotykami i dopalaczami zwoje mózgowie – tak zresztą poplątane, że chyba nikt nigdy nie byłby w stanie ich ułożyć na nowo we właściwym porządku. Ofiary wypadków pokazywały temu nowemu światu swoje metalowe płytki, błyskały gwoździakami i prętami, które utrzymywały misterną konstrukcję ich kręgosłupów na wierzchu. Kobiety w ciąży mogły bez przeszkód oglądać funkcjonujące na zewnątrz ich ciała macice z ruchliwymi płodami, których – na szczęście, nie obejmowało najwyraźniej wywrócenie na zewnątrz. Rozwijaly się więc dalej wewnątrz worków owodniowych, ale pod zamkniętymi powiekami drgały konwulsyjnie histerycznie przerażone oczy, a dzieci, które już wkrótce miały przyjść na świat i regularnie je otwierały, pokazywały w nich matkom zwierzęcy strach. Świat bowiem przestał być dla nich jedną, wielką niewiadomą, a stał się oczywistością, egzystującą tuż obok nich, od której oddzielała je tylko

delikatna ściana macicy. A jak się nie bać czegoś, co się widzi, zanim się tego nie dotknie, nie pogryzie, nie pociamka?

Przerażeni Szybkomyślący prędko znaleźli gdzieś bańki z niezidentyfikowanych materiałów, imitujące otulinę, w które zapakowali pozostałych przy życiu ludzi. Trzeba przecież było jakoś ochronić te resztki ludzkości, które pozostały po Wielkim Kataklizmie Rewersowego Obrócenia Wszechświata. Ich organy, wnętrzności były zbyt kruche, by długi czas pozostawały bez osłony. Mogły przecież wyschnąć, popękać, ulec uszkodzeniu. Kto by wówczas pozostał na odwróconej Ziemi? Bańki same w sobie w ogóle były zagadką. Leżały na powierzchni przekreślonego świata – jak gigantyczne, zmaterializowane beknięcia planety. Czym tak naprawdę były? Wypatroszone zwoje mózgowie ludzi wołały na wszelki wypadek o tym nie myśleć.

Wielkie zagrożenie epidemiologiczne stanowiły także wszystkie groby, które po przekreśleniu się planety na lewą stronę, wykluły się na powstałym wybebeszeniu. Oczywiście problemu nie stanowiły stare, zdekompletowane szkielety sprzed setek lat (niektóre ocalały), ale świeże trupy, które pochowano jeszcze przed niespodziewaną zagładą doczesności. Gnijące zwłoki nie odwracały się na lewą stronę – a to pewnie dlatego, że nie musiały: wszystkie ich smrodliwe wnętrzności i tak bowiem wypłynęły na wierzch. Szkielety taplały się w trumnach, w zupach powstałych ze swoich płynów fizjologicznych. Zatrwały otoczenie i siały zgrozę wśród ludzi, którzy pomimo odwrócenia – pozostali przy życiu. Co prawda oni sami wyglądali nie lepiej od trupów, ale przecież wciąż jeszcze żyli, choć przepełniali ich strach – paraliżował w nich chęć dalszego życia na odwróconej planecie.

Jeśli jeszcze ktoś dysponował mokrymi, działającymi zwojami mózgowymi, przewodzącymi impulsy nerwowe, za wszelką cenę starał się zrozumieć, jak to się stało, że świat, który zna – bezpowrotnie przeminął. Wydawało się, że jeszcze wczoraj planeta walczyła ze zmianami klimatycznymi, konsumpcjonizmem, tworzyła protezy i wynalazki bioniczne, a dziś jawiła się jako błądy, koronkowy sen, fatamorgana nierealnych doznań, emocji i szarych smug. Nic z tego świata nie pozostało – kable sterczały z odwróconej na nice planety jak powyrywane żyły, światłowody internetu – to przezroczyste włókno szklane z domieszką tworzyw sztucznych, wypatroszone straszły na zmienionej organicznie powierzchni. Drzewa zniknęły – ku wywróconemu na lewą stronę niebu (na którym widać było przyszyte niewprawną dłonią gwiazdy, całe ich konstelacje) wyciągnięte były – w dramatycznym geście, olbrzymie korzenie z przyczepionymi do nich, nieznanymi dotąd ludzkości bakteriami i wirusami. Wszystko to – wściekle cmokając i piszcząc, chciało tylko jeść, konsumować, pochłaniać, zagryzać. Gotowe było przemielić pozostałości świata na drobią sieczkę, a ludzkość – na nic niezaczące trociny organiczne.

Szybkomyślący starali się odnaleźć w tej nowej dla ludzkości sytuacji jakieś doraźne rozwiązanie, które pomogłyby ocalałym jakoś egzystować. Błyskawicznie jednak wszelką społeczną dyskusję zdominował wielki głód. On jakoś nie zapadł się wraz z żołądkiem, nie zaginał. Po prostu na czas kataklizmu przyczał się gdzieś cichutko, by w stosownym czasie wejść na arenę dziejów. Ludzkość na rewersie świata rozpaczliwie zaczęła poszukiwać czegoś do jedzenia, ale świat znanej przyrody –

fauny i flory, odwrócił się przecież i zapadł do wnętrza Ziemi. Dostępne pozostało tylko to, co dotąd tkwiło w ukryciu – oblepione bakteriami korzenie i dziwne, zbutwiałe pnącza, wydzielające ohydny zapach, szczególnie upiorny dla wywróconych na zewnątrz opuszek węchowych i nerwu węchowego. Natura pokazała swoje głodne oblicze, więc ludzie z coraz większym niepokojem przyglądali się sobie nawzajem, zastanawiając się w panice: „Czy człowiek obok mnie ma świeże kiszki? Czy nie zatrują się czasem po zjedzeniu jego bebechów? A może ta istota w ciąży ma zdrowy, chrupiący płód, którym pożywią się na długi czas?”.

Spryciarze węszyli biznes, poszukiwali jeszcze rodzaju działającej esencji, tynktury, kamienia filozoficznego – rzekomo nadającego każdemu metalowi nieszlachetnemu właściwości złota lub srebra, przekształcającego go w te ciała. Starali się odnaleźć tynkturę czerwoną – wykorzystywaną do transmutacji metali w złoto i tynkturę białą, którą posługiwano się do przemiany w srebro. Już nawet zaczęli przygotowywać naczynie służące do owej tajemniczej, alchemicznej przemiany – czyli tak zwane jajo filozoficzne, gdy szybko sobie uprzytomnili, że złota i srebra jest wokół nich pod dostatkiem. Planeta Ziemia -obracając się na lewą stronę, wyrzuciła na zewnątrz uwięzione dotąd w zazdrosnym wnętrzu zasoby naturalne, w tym właśnie wiele złota i srebra. Co im teraz jednak po nich było? Wraz z zanikiem wszelkich oznak cywilizacji człowieczej – stały się bezwartościowe. Błyszczały sobie jakimś dziwnie zarozumiałym, buńczucznym blaskiem – oświetlane nie wiadomo jakim światłem. Bo słońce... też odwróciło się na lewą stronę. Było teraz gorejącą kulą, której energia nieomal nie docierała na powierzchnię niby – Ziemi, wciąż rozpaczliwie ją okrążającej. Ziemię – rewers oświetlał jakiś okropny, przerażający blask, przypominający światło ze starych, fabrycznych halogenowych lamp. Ludzie z wnętrzościami na wierzchu trzęśli więc swymi rachitycznymi szkieletami, a ich wszystkie wierzchnie, wypatroszone organy podrygiwały przy tym nerwowo. Otaczające ich ciała bańki niezbyt chroniły przed utratą ciepła, a magma z Ziemi – po erupcji tak aktywna, szybko zamieniła się w beużyteczną skorupę i przestała grzać. Nie dało się jej uniknąć pod wypatroszonymi stopami, ale była rodzajem chodnika śmierci, zastygłym cementaryszkiem dawnej, ludzkiej cywilizacji. Kasała w miękkie, odkryte tkanki rewersu stopy - ciągłymi wyrzutami sumienia.

Początkowo ocalałe resztki wypatroszonych istot myślały, że ludzkość jeszcze może ocaleć, odrodzić się. Przecież w końcu w łonach niektórych kobiet tkwiły wciąż żywe płody! Ta ich mocno naiwna nadzieja szybko się jednak skończyła, gdy dostrzegli pierwszych śmiałków, którzy z okrzykiem nienawiści rzucili się ku spęczniałym macicom i z furją w odwróconych na lewo oczach – oderwali je od kobiecych korpusów. Żarli płody razem z grubymi sznurami pępówin, rozgniatali zębami drobne tkanki nienarodzonych i rozszarpywali macice, wypijając z nich płyn owodniowy i krew - jak z kunsztownej czarki. Oto ludzkość przemieniła się w mitycznego uroborosa – węża pożerającego własny ogon. Tak właśnie homo sapiens zniszczył faunę, florę – to, co żywe i to, co miało przyszłość, by na końcu destrukcją objąć całą Ziemię i otaczający ją wszechświat. Skoro jako uroboros niesie w sobie pierwiastek wieczności, będzie to jego jednocześnie nadzieją i przekleństwem. Nadzieją, bo ludzkość jako taka nigdy pewnie nie zginie, ktoś

przetrwa, ale będzie to jednostka tak zdegenerowana i zepsuta, że nieustanna przemiana i ciągłe odradzanie się nie obejmie jej zatrutej duszy. Choćby humanoid zmieniał się i przeobrażał wciąż na nowo, klonując się i powielając, replikując w sposób ciągły swoje byty, żyjąc wielowarstwowo i wielopoziomowo – zawsze ostatecznie coś spartaczy, niszcząc swoją nową przyszłość. Zatrute jest bowiem jądro człowieczeństwa, brudna jest jego dusza. Zatem na zawsze musi ona pozostać w Panoptikonie, czyli Domu Nadzoru. Oko wiecznie pilnuje i karze...

Stanisław Szwarc

Wesołych Świąt Hag molad sameah (hebr.) Millad meżijit (arab.)

Przyjdź, choć niełatwo będzie Ci
w tym zwariowanym świecie.
Sam go stworzyłeś, teraz cierp
od żłóbka po kres życia.

Dziś nad Betlejem wojny łuna,
wybuchy chór aniołów tłumią,
pasterze z bronią i w mundurach
gospody w gruzach, stajnie płoną.

Uchodźcie z tej przeklętej ziemi,
co miała być dla wszystkich świętą.
Podpowiedz Matce dokąd iść
do kraju bez zamętu.

Gdzie nie ma morza, płotu i
zasieków na granicy,
gdzie znajdują swój na ziemi kąć
tragiczni podróżnicy.

Lecz strzeż się krajów, gdzie na stole
nakrycie czeka puste,
a słowa niegodziwe, złe
wypowiadają usta.

Nie chcemy tutaj Żyda ni
skóry zbyt kolorowej,
a Ty masz przecież smagłą twarz
i oczy migdałowe.

Przyjdź, proszę, a jeżeli Krzyż
od zła nie zdołał nas wybawić,
wjedź na osiołku dziś do Gazy
i pozwól się tam zabić.

Eugeniusz Toman

Twórczy dialog na linii Poznań – Paryż

Centrum Dialogu to nie jest tylko miejsce, lecz przede wszystkim ludzkie serca, osobowości twórcze oraz intencje, z jakimi zwracamy się ku sobie nawzajem. "Skoro dialog, to otwarty na wszystkie prądy" – ta myśl ks. Józefa Sadzika wybrzmiewała kilkakrotnie podczas wieczoru wspomnieniowego w sali Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu 16 października 2023 roku. Przypomnieliśmy także cytaty z *Tryptyku rzymskiego* Jana Pawła II „to przemijanie ma sens”, bo właśnie o poszukiwaniu sensu istnienia czytamy w poemacie Macieja Niemca *Ogród w lutym*, od którego rozpoczęliśmy rozmowę. Wybrzmiała zatem także poetycka fraza Teresy Tomsz *W odpowiedzi na „Ogród w lutym”*. Uczestnicy spotkania mówili o nieustającej potrzebie wzajemnego wsłuchiwania się w głosy innych i ich poszanowania, wskazywali na konieczność upominania się o kulturowe dziedzictwo – co właśnie głosi idea Centrum Dialogu. Spotkanie zapowiedziała poetka Łucja Dudzińska, prezeska Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddział Wielkopolski, gdyż odbyło się ono w ramach I Festiwalu Literatura do Poznania przebiegającego według jej koncepcji i opieki organizacyjnej. Gościem wieczoru była poznańska poetka i eseistka Teresa Tomsz. Powierzono mi poprowadzenie z nią rozmowy, gdyż przez 25 lat byłem świadkiem i pomocnikiem jej twórczych działań dla Wielkopolski oraz polonijnych ośrodków (ostatnio dla pamięci odkrywcy australijskich szczytów Pawła E. Strzeleckiego). Pokazaliśmy publiczności, jak wyglądał w dawnych latach miesięcznik „Nasza Rodzina” wydawany przez paryskich pallotynów, a potem internetowe „Recogito”. Wiele jej artykułów czy wierszy oraz utwory innych poetów przepisywałem na maszynie, a następnie udawałem się na pocztę, by wysłać je do redaktora ks. Marka Wittbrota. Dziś to sprawa prosta, gdy mamy do dyspozycji komputery, ale czy obecnie jest łatwiej z dialogiem i chęcią rozmowy?

Twórczy dialog na linii Poznań – Paryż wciąż trwa i składa się z wielu wątków. Z okazji jubileuszu 50-lecia Centrum Dialogu przypomnieliśmy kilka ważnych dla naszego środowiska postaci, dzięki którym trwały dyskusje, biesiady literackie, wspólne prezentacje. Wspominaliśmy Pawła Jocz, wybitnego rzeźbiarza i grafika, który w swoich pracach ukazywał bogactwo osobowości człowieka. Wystawione na sztalugach przykładowe tomiki wierszy Macieja Niemca (*Kwiaty akacji, Ulica wód*) i Teresy Tomsz (*Przed pamięcią, W znikającym ogrodzie*) z jego grafikami na okładkach zaświadczały ofiarności artysty w obdarowywaniu poetów, wyróżniał się bowiem niezwykłą otwartością na współpracę z innymi, zauważał odmienną dykcję, gest, osobowość, a cytaty, który zapamiętał, stawał się dla niego inspiracją. Na zdjęciach z lat 1997 – 2023, które ukazywały się na ekranie, uczestnicy

spotkania mogli zobaczyć dom pallotynów, fotografie artystów w ich pracowni oraz gospodarzy tego miejsca. Towarzyszyły nam wizerunki dawnego superiora Henryka Hosera oraz eseisty i fotografa Marka Wittbrota, który starał się ożywić spotkania dyskusyjne w latach dziewięćdziesiątych XX w. i w latach późniejszych. Rozmowy toczyły się w pokoju redakcyjnym, zapraszani byli wtedy też autorzy młodego pokolenia: Aleksander Jurewicz, Zofia Zarębianka, Paweł Huelle, Zbigniew Dominiański wielu innych.

Dedykacja w tomiku *W znikającym ogrodzie* jest znamieną, dwupoziomową, poświęconą paryskiemu grafikowi Arturowi Majce oraz pallotyonom: malarzowi Witoldowi Urbanowiczowi i redaktorowi „Recogito” Markowi Wittbrotowi a także, a może nawet przede wszystkim WIELKIM NIEOBECNYM. Zapytałem, czy chodzi o mistrzów pióra takich jak Zbigniew Herbert, Czesław Miłosz, Gustaw Herling-Grudziński i artystów takich jak Jan Lebenstein i Michał Milberger, którzy bywali gośćmi dyskusyjnych wieczorów w domu pallotynów i co było inspiracją powstania zbioru paryskich liryków. Autorka odpowiedziała, że pragnęła przedstawić osobiste odczytanie Paryża, utrwalić w metaforze zapamiętane obrazy i wspomnienia, a zmieniający się punkt widzenia kształtuje przecież nowy rytm poetyckiego zdania, więc spojrzenie z dystansu na wczesne epifanie jest ważne: „Deszczowa wyprawa za miasto / w lipcowe południe na cmentarz / w Montmorency – żal romantyków / skupiony w kropli dżdżu niesiemy / w chłodnym powiewie”. Interpretację kilku wierszy zaprezentowała poetka Sławomira Sobkowska-Marczyńska. Przedstawiła także własne odczytanie, podkreślając, że w poezji Teresy Tomsz zarówno ważna jest pamięć, ja i rozmowa z sobą, że przez jej liryki przebija światło: „Dialog jako próba zrozumienia się nawzajem jest bramą, po przekroczeniu której *inne* staje się bliższe, otwiera nowe przestrzenie dobra, do których wstęp mają wyłącznie osoby zdolne do jego podjęcia. Poetka umiejscowiła się w centrum wielowektorowego dialogu: z jednej strony wciąga w niego czytelnika, z drugiej – rozmawiając ze zmarłymi artystami i nadając im w ten sposób nowe tchnienie – balansuje między sacrum a profanum”.

Wiersze Teresy Tomsz odczytuję jako metaforyczną opowieść o gościnnym domu o charakterze artystycznym, o obecności w Ogrodzie Sztuki – z apokaliptycznymi witrażami Jana Lebensteina i nastrojową kaplicą. Ten dom obrósł w legendę i ma swoją niesłabnącą pozycję w historii polskiej kultury. Przez ostatnie półwiecze przybywali tam ludzie szukający duchowej i twórczej wizji przyszłości, idei, kodeksu wartości. „Wiara i kultura” powinny trwać w nieustannym dialogu – podkreślał papież Jan Paweł II, a święty patron Wincenty Pallotti od ponad półtora wieku zachęca do dialogu duchownych ze świeckimi. Rozmowy obecnie toczą się na portalach i są to raczej krótkie wypowiedzi informacyjne lub skandalizujące, brakuje natomiast bezpośrednich spotkań z głębszą refleksją, z chęcią zatem zabrał głos poeta Jerzy Grupiński – redaktor kwartalnika „Protokół Kulturalny”, który także w tym roku obchodzi 25-lecie istnienia pisma. Z nostalgią wspominał towarzyskie dysputy w świdwińskim Zamku z pomorskim pisarzem Stanisławem Misakowskim, a Danuta Dachtera z Klubu Literackiego „Dąbrówka” przedstawiła analogie „trwania” w poezji Julii Hartwig i Teresy Tomsz. Od wiosny tego roku w Paryżu co miesiąc odbywają się

Dzień dobry

jubileuszowe wieczory poświęcone wybitnym postaciom kultury. Na wrześniowym spotkaniu mówiono o Zbigniewie Herbercie. O poznańskiej urozystości wspomnieniowej dowiedzieli się także autorzy, artyści, krytycy sztuki z innych miast. Pozdrowienia i życzenia pięknego wieczoru przysłali nam m.in.: ks. prof. Jan Sochoń, Maria Wollenberg-Kluza, Marek Zagańczyk, Krzysztof Kuczkowski, Karol Alichnowicz, Rafał Jaworski, Irena Knapik-Machnowska, Hanna Strychalska, Mona Tomasi, Piotr Müldner-Nieckowski.



Eugeniusz Toman i Teresa Tomsia, Poznań 16 X 2023©Piotr Grzywacz

Piotr Grzywacz z Uniwersytetu Artystycznego i fotografik Andrzej Haegenbarth zainteresowani byli współpracą poznańskiej poetki z rzeźbiarzami. Zachęcali, aby osobne spotkanie poświęcić tematowi przenikania się sztuk. Dziękujemy wszystkim za aktywne uczestnictwo w tym wieczorze wspomnień, a najbardziej redaktorowi Markowi Wittbrotowi, który w subtelny sposób trwał z nami przez lata w twórczym dialogu, inspirując do podejmowania artystycznych działań. Pozostajemy z pytaniem, czy poezja jest w stanie nas pocieszyć, dać nadzieję, jeśli będziemy pamiętać o ludziach i miejscach, jakie nas stwarzają – tak jak to czyni poznańska poetka podejmująca dialog ponad podziałami, z ufnością, że wzajemne poznawanie się i zrozumienie jest możliwe: „Przyjaźń jest światłem, w głębię zapatrzeniem, / z ciemnicy wyprowadza, czuwa, ożywia nadzieję”.

Eugeniusz Toman (1949) dziennikarz, animator kultury, autor opowieści lotniczych. Był redaktorem serii poetyckiej w wydawnictwie Rhythmos, współorganizował z poetką Teresą Tomsią wieczory literacko-muzyczne w poznańskim Klubie Piosenki Literackiej „Szary Orfeusz”. Ukazał się też tomik jego wierszy „Samotny lot” (2020). Z „Recogito” współpracuje „z drugiego rzędu” od początku istnienia portalu. Nazwisko literackie Toman przyjął po pradziadku Tomaszu, który zginął jako żołnierz podczas I wojny światowej. Mieszka w Poznaniu.

Odbyłem z nią stosunek we śnie. Wszystko widziałem, całą tę jej subtelność, podgoloną tajemnicę zanim się do niej zbliżyłem i poprosiłem Sandrę, aby włożyła. Uczyniła to z ociąganiem, niedbale, jakby z obowiązku. Dwa czy trzy razy wyskakiwał aż się na dobre związał i wydawało mu się że to już na zawsze. Fenomen stosunku seksualnego polega na tym, że osiąga takie wysokości i takie przeszczerzenie, głównie głębokie, z których żadne skarby nie chce się zejść. Tym razem nie doszło do szczytowania, obudziłem się zdziwiony, że nie czuję silnego podniecenia. On był tylko trochę większy.

- Starość – pomyślałem i zniechęcony zagłębiłem się w otchłań wymuszonego snu, snu ucieczki z jakiej często korzystam mając dość podłej rzeczywistości. Ratuje mnie to przed otępiającą, snującą się niczym codzienna mgła, zasnuwająca cały świat, rozpaczą. Pomogło.

- „Białe małżeństwo” – to była pierwsza myśl po przebudzeniu.

- Dzień dobry – powiedziałem do słuchawki.

- Dzień dobry – odpowiedziała radośnie Sandra, bo dla niej takie „dzień dobry” było ważne, bardzo ważne. Zupełnie jakby dzień bez niego nie był ważny.

Ta jej ksobna subtelność w odbieraniu świata, w oswajaniu go, dopasowywaniu do siebie i vice versa zawsze mnie zachwycała. I stawił na baczność, aby czymś nieopatrzonym nie wprowadzić w jej rzeczywistość zamieszanie a nawet bólu. Bo ona była delikatna, bardzo delikatna, choć z pozoru bardzo rzeczowa i konkretna, czynna a nie czekająca na działania zewnętrzne.

- Dzień dobry – powtórzyłem. – Śniłaś mi się.

- Jak? – zapytała, rzeczywiście zaciekawiona.

- No tak – odpowiedziałem.

Śmiech, perlisty śmiech wypełnił słuchawkę telefonu i niczym bąbelki pieniącego się środka do prania zaczął wylewać się na zewnątrz. Dołączyłem do niego i tak rechotaliśmy zgodnie niemal pół minuty. Taki wspólny śmiech to jak trzymanie się za rękę, podczas którego ona od czasu do czasu lekko ścisła moją dłoń, na co – nie ukrywam – czekam, było naszym światłem, naszą wspólnotą. I powinno wystarczyć.

I wystarczało.

Póki co ... Żadne „póki co!”. Proszę mi uwierzyć...

Ewa Moskalik

Haiku

późna jesień
altana zamknięta
na pajęczynę

pierwszy śnieg –
jakże poczerniały
wszystkie wrony!

Piotr Müldner-Nieckowski

Pani

Pani Barbara, żona zmarłego Janusza,
zaprasza
mnie, bym mówił o jej sławnym mężu.
Lecz mówi ona o nim sama. Mówi, co jej
drętwy język na myśl przynosi, że sławny
mąż
był płacziwy, miał zwidy. Sypie łzami po sali,
obnosi się z wdowieństwem jak śmierć z
życiem,
aż niektórzy czują gęstniejącą woń potu.
Zerkają na mnie, co w odwecie powiem.
Wtem Janusz mnie Stamtąd chwyta za rękę:
nie mów, może po jakimś czasie zapomną.

Tren kuchenny

Wczoraj rozmawiałem z Nią w kuchni,
długo, poważnie, w sprawie okapu nad
gazem,
aż przejął mnie lęk, czy ktoś mnie słyszy.
Zacząłem zaciągać story, przykrywać stół,
twarz gazetą,
bo tu zawsze wyciągała do mnie ręce, język –
bezwstydnie, przy oknach bezmyślnie
otwartych.

Piotr Müldner-Nieckowski (ur. 1946 w Zielonej Górze) jest poetą, prozaikiem i dramaturgiem. Doktor nauk medycznych (praktykujący lekarz internista) i doktor habilitowany nauk humanistycznych (językoznawca - frazeolog i leksykograf, emerytowany profesor UKSW). Wiceprezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członek PEN Clubu, Rady Języka Polskiego i Komisji Frazeologicznej PAN oraz towarzystw naukowych. Mieszka w Podkowie Leśnej.

Stefania Pruszyńska

Do drzewa oliwnego

Wyczekiwać odwołania mroku
który trzebi ogrodników twoich gajów
czy wierzyć obietnicy
nabrzmiałej śpiewem źródeł
w twoich owocach...

Niebo zarasta stalą i ogniem.
A ból krzyczy w popiołach.
Zawsze pospieszniej bezsilny
od każdego przemijania.

Dopiero w porę białych gołębi
ustanie niepewność kropli światła
w kagankach w Betlejem.

Bogna Wiczyńska

* * *

jeśli masz litość i jeśli chcesz mnie jeszcze
żywą
spraw by zima nie przyszła
tego roku

bo przecież ja butów nie mam płaszcza nie
mam
rozebrana jestem tego roku jak nigdy
do samej skóry do kości samych golusieńka

śnieg mnie zasypie i co zrobię?
butów nie mam
i co zrobię?

gdybym choć skórę miała
solidnie utkaną grubą i ciepłą
ale ona połatana pozszywana gdzieś
tu otarcie tu dziura tu łata
a skóra ma duszę chronić
przed wiatrem i mrozem

więc miejże litość
miej

Hegen

W świetle dnia

Wydajesz się być lekka jak napowietrzny
most
łączący dwa światy: szczęśliwego dzieciństwa
i młodości
z krainą odchodzących w przeszłość.
Nie z prochu powstałaś, lecz z pulsującej
namiętnością krwi
i w krew się powoli obracasz.
Drgają ci mimowolnie dłonie
i jak wicher przelatują przez ciebie wspom-
nienia:
sypanie kwiatów w kościelnej procesji,
pierwsze wiosenne pocałunki
i rozkosze rozchylonych ud.
Być może za chwilę
prześcieradło odsłoni twoje szczupłe ciało
i naga jak cię Bóg stworzył przepłyniesz w
światle dnia
ponad blaknącą otchłanią ziemskich przeżyć
w mroczną, niepojętą czerwień.

*Ekfrazja zainspirowana obrazem Przemysława
Kaleńskiego „W świetle I,
90 x 120, olej na płótnie, 2017.*

Krystyna Mikołajewska

* * *

Uchwycić się promienia Słońca
I nie spłonąć
Myśl błędna
Legły marzenia
Spopieloną duszę
Wiatr beznamiętnie
Rozwiął
po zakamarkach
Tęsknot
Każda jej cząstka
Wbita w pamięć
Jak drzazga
Z rozdartego drzewa
Boli
Wspomnieniem dotknięta ...

Anna Elżbieta Zalewska

Zima

Drzewa i krzewy
oprószone śniegiem
srebrzyście błyszczą
niczym welon panny młodej
na taflach lodu
tańczą w słońcu
wschody i zachody
a sikorki i gile
na gałęziach
ogrzewają zimę.

Barbara Gryglewicz

Nieobecność...

Nie odchodzi się bez usprawiedliwienia.
Nieporadnie zapełniam Twoją nieobecność.
Niepoliczonymi myślami, wplątanych w sny,
przebudzenia,
zapatrzania w niebo.
Posyłam w górę ptaki złotopióre i motyle
stubarwne.
A tutaj zwyczajnie.
Kroję chleb i stawiam Twoją ulubioną
filizankę z parującą kawą...

Zdzisław Czwartos

Piórko

Gdybym miał moc czarownic,
już bym nie był człowiekiem
jeno ptakiem
Nie, nie, nie,
nie ptakiem,
piórkiem,
które razem z ptakiem gdzieś
w obłokach lata...
Szybowałbym wspaniale,
o niczym nie wiedział,
byłbym tak spokojny,
tak bym cicho siedział
i... milczał.

Dariusz Kozdęba

1961 – 2023

* * *

Jerzemu Grupińskiemu

Na werandzie suche liście czeremchy
szemrzą mysio i rozpraszają mnie czule
Jurku
gdy ostatnio tu byłeś próbowaliśmy łowić
i strzelaliśmy z wiatrówek do puszek po piwie
Wieczorami odwiedzała nas Cyganka Agata
z jarzębinowym płomieniem we włosach
i tańczyła
jak ona tańczyła
Przez cztery dni stwarzaliśmy świat i siebie
szybciej od Boga i podkradaliśmy mu pamięć
o poznańskich męczennikach poezji
- tych co już więcej nic i tych co wciąż
co jeszcze
Tak to mi wciąż tętni w pamięci gdy jelenie
ryczą przez noc aż drżą wszystkie gwiazdy
pełną gębą dostojnie siorbie wodę z poidła
- szemrze mysio że mam czas do jutra
Wiesz o co mi chodzi

*„Zapisał ci wiersz przed odejściem.” – Mówi mi
nagle Jerzy B. Zimny. Z opóźnieniem trafia do mnie
numer 15/4/ 2023 „Rewirów” a w nim pożegnalne
teksty Dariusza Kozdęby do żony Gabrysi, do mnie
i do Jana Kaspra*

Jerzy Grupiński

Klepsydra

Wolczak nie był tu ewenementem. Pomimo ciężkiej wady serca przyszedł do jednostki z kategorią „A”, czemu już się nikt nie dziwił. W armii przestawali się dziwić najbardziej nawet zdziwieni. Wojskowe komisje lekarskie miały złą sławę. Pieśniadze i znajomości robią swoje. Ktoś w końcu musiał wypełnić „zaszczytny obowiązek” za siebie i za tych, którzy w taki czy inny sposób załatwiali sobie zwolnienie ze służby, a 719 dni i nocy przeżywali znacznie bardziej godnie i przyjemnie. Wolczaka zgubiła logika i pewność, że skoro się ma wadę serca, to... – Nic bardziej naiwnego.

(...)

Wolczak meldował. Czas płynął. Cóż mógł usłyszeć? Dopóki chodził, wysyłano go do roboty z innymi. Choroby nie widać.

- Wolczak, zamelduj to koniowi! – tyle tylko potrafili mu powiedzieć, skoro przełożeni zdawali się równie bezradni.

Bo chorobę trzeba udowodnić. Trzeba paść, a najlepiej zdechnąć. W końcu... tutaj wszyscy są podejrzani o symulację.

Na wprost wejścia do warsztatów z terenu położonego pół metra powyżej chodnika wyrastały lipy, z których jedna właśnie kwitła. Na skraju tego podwyższenia zakończonego murkiem oporowym, położone były heblowane, zaokrąglone na krawędziach, długie i solidne listwy stanowiące ławki bez oparcia. (...)

- Siakryew! Co to jest? Wojsko leży? – zapytał wychodzący z warsztatów sierżant, zdziwiony widokiem leżących starych.

- Leży i kwiczy – mruknął zawadiacko Krupa.

- Krupa, czy ja coś słyszałem?

- Moje pierdnięcie – Krupa znowu mruknął - nie, panie sierżancie. To Błędowicz, kot niemiły, ma jak zwykle zaburzenia trawienia. Znowu nażarł się sierści. - Błędowicz stojący obok spojrzał jadownicę, ale nie miał głosu przy „starym”.

- Jakiej sierści? – chamowaty sierżant w półuśmiechu błysnął przekrzywionym przednim zębem.

- Swojej, panie sierżancie – odpowiedział Krupa – nażarł się sierści i pierdzi.

Ten rodzaj wymiany zdań pasował sierżantowi, który wychował się wśród fernali w podworskim pegeerze, a oni z pewnością nie przebiegali w słowach.

- A to się, siakryew, udał – pokiwał głową i choć go takie żarciki wciągały, silniejsza była pamięć o żonie, która niczym armia nie tolerowała odstępstw od porządku dnia, a tym bardziej spóźnień. Poszedł.

Lubiliśmy się kłaść na ławach. W rzadkich chwilach spokoju patrzeć w lotne cumulusy, a nocą w bezmiar gwiazdnych przestrzeni. Złoty kosmiczny pył osiadał cicho niczym kurz z pokrętnych dróg człowieka. Ryby oczu nurzały się w odmętach nieskończoności. Wiecznie zmęczeni wygrzewaliśmy się w popołudniowym słońcu, dającym tak bardzo chciany, pośród ogólnie panującej oschłości uczuć, dotyk łagodności.

Właśnie pomyślałem, że będzie deszcz, bo wysoko w górze, nad hangarami, ponad strzelistymi topolami, pojawiły się cirrusy, a przy kominie

sztabu swoje chrzęszczące dźwięki wydawał smoluch – Kopciuszek. Ptaszek ten był zwiastunem deszczu. Sprawdzałem właśnie wykonanie prac porządkowych przy sztabie, kiedy dostrzegłem dwóch chłopaków z ostatniego poboru, biegnących niezgrabnie w moją stronę. Byli niscy. Ich robocze mundury musiały wywoływać uczucie litości. Czarne berety odklejały się z powodu oporu powietrza od ich głów, przytrzymywane więc były w biegu rękami. Ich wierne cienie posuwały się leżąc. Drgały karykaturalnie na asfalcie, jakby z wysiłkiem płynęły ku mnie. Gdy znaleźli się w odległości dwóch metrów ode mnie, zameldowali ze strachem, korzystając z nieregularnej formuły, zgodnie za to z panującym tu zwyczajem:

- Szanowny dziadku, szeregowy Kropicki melduje: - Wolczak leży na warsztatach i nie dycha. Kropicki westchnął ciężko i powrócił jego pospieszny oddech, wstrzymany na potrzebę meldunku.

- Biegieem!

Mój okrzyk wrócił po sekundzie echem, zmaconym kolejnym chrzęstem Kopciuszka zaklinającego deszcz. Nie zwlekając puściliśmy się pędem ku warsztatom odległym o jakieś 120 metrów od sztabu, biorąc po drodze trzy ostre zakręty, mijając spokojnie stojące lipy, z trzaskiem otwierając mocno nadwerężone drzwi. Wspinaliśmy się błyskawicznie, klapiąc ciężkimi butami po betonowych stopniach na duszne i rozgrzane skwarem dnia poddasze. Tu pośród wielu rzędów metalowych szafek na ubrania dla pracowników cywilnych i wojskowych leżał na podłodze biedny Wolczak - zmięty i wykręcony, ale co najgorsze, fioletowozielony.

Nikt tu nie litował się nad innymi. Każdy miał dość swojej biedy i swojej tęsknoty. Każdy kontemplował stratę czasu przymusowo - dobrowolnie oddanego służbie, polegającej na gonieniu wiatru, ścieraniu urojonego kursu, machaniu maczugą, przy jednoczesnym marszczeniu marsowego czoła i innych tego typu idiotycznych czynnościach. Ot, i armia dobrodziejka, które takie jak my zera przerobi niechybnie na... twardzieli, bezdusznych chamów i pijaków, a że nie wszystkich, to i chwala Bogu!

(...) W wyobraźni zobaczyłem kobietę. Mięgnęła pomiędzy szafkami.

Matka Wolczaka? - za każdym z nas, gdzieś w emocjonalnej przestrzeni stali smartwieni rodzice, a matki, jak aniołowie stróżowie, były szczególnie obecne, bo przecież to one rodziły nas, to one nas karmiły, one głąskały, uczyły i kochały, miłością pełną poświęcenia. Teraz wmawiano nam, że liczy się tylko siła!

- Dlaczego nie wynieśliście go na powietrze? – pytam z wyrzutem. - Jazda! Chwyć go ze mną, a ty Sztych, za nogi. Biegiem na dół.

Przez sekundę zwlekali, zanim komenda do nich dotarła. Pędziliśmy po betonowych schodach na łeb na szyję z umrzykiem. Buty klaskały, dudniły zmieniając ton. Tumult powiełał pogłos klatki schodowej i korytarzy wiodących na warsztaty, aż chlusnął w drzwi. Otwarte kopniakiem, omal nie zabiły łąciatego kota, który nieopatrznie nawinął się pod próg, szukając pochwały. Trzymał, pomrukując z zadowoleniem, upolowanego tylko co proroka deszczu.

Fragment powieści „Klepsydra jaźni, czyli armia słabeuszy”. Drukarnie Wielkopolska, Poznań 2019.

Jerzy Grupiński

Ut pictura poesis?

„Poezja jak malowidło...”
(Horacy w *Liście do Pizonów*)

Jest chyba lekką przesadą nazywanie to-
mem Dziesięciowiersza Sławomira Krzyżki, szczy-
płej książeczki zatytułowanej „Pękające szkło”.
Artur Jocz, bo jego to ze wstępu określenie przywo-
łujące klasyczną grecką sentencję, pitagorejską
tetraktys, symbolizującą dziesiątkę, liczbę dosko-
nałą, symbol harmonii... W książce dziesięć ilustra-
cji prof. Kazimierza Wiśniaka i dziesięć wierszy
Sławomira Krzyżki. Cztery z nich ukazały się już
wcześniej w formie pocztówek w Krakowie. Tak-
że w Poznaniu w serii pocztówek poetyckich z ini-
cjatywy Łucji Dudzińskiej. Twórczość Kazimierza
Wiśniaka zapamiętałem m.in. z periodyku „Nihil
Novi” redagowanego przez Stanisława Chyczyń-
skiego. Tak oryginalna twórczość budzi żywe emo-
cje. Ba! Skrajne, bo wymagające obrony ze strony
redaktorów „Nihil Novi”, przecież tak chętnie
przyjmowana przez tzw. szerokiego odbiorcę
i przez koneserów sztuki...

Tajemnicę litery, znaku otwiera tekst
„Rozmowa o poezji” z książeczki „Pękające szkło”:
*O cyfrowym świecie / zer i jedynek / nieznanym
znaków / O tytule zakodowanym w życiu. Milczenie
drugiego z wierszy przechodzi jak w otwarcie mowy
- Słowa, w litanię. Z kolei żart poetycki - anegdota
„U fryzjera”, jak próba ucieczki od odpowiedzialno-
ści za Słowo. „Wiersze” kończą słowa: (...) *Iść krętą
drogą / wkładać maski / śnić / Bywają złudne / jak
czepianie wody / z wyschniętej studni. W „Emilii”:
(...) czeka na noc / poranek / śpiew skowronka /
Czeka / a czas przemyka / szuka odbicia w lustrze,
przekornie chciałoby się zamienić wyraz „szuka” na
„sztuka”. Wreszcie i tekst zamykający cykl dziesię-
ciu utworów zilustrowany jakby dwukrotnie, bo
okładką książki, na której wazon pękający pod
ciężarem róży i pracą plastyczną obrazującą ka-
mień rzucony w szybę. Przytoczmy w całości ten
utwór: *** *Pojmujesz słowa / nie rozumiesz zdań
/ Przyglądasz się ciszy / próbujesz / złapać czas /
chciałbyś wrócić do ukrytych za kurtyną spraw /
Kolejny raz / wznosisz modlitwę / zawile gry /
Pragniesz jak kamień nie słyszeć pękającego szkła.*
Kluczowe symbole wiersza: modlitwa, Słowo, gra,
kamień, szkło – przywołują kardynalne pytania,
odnoszące się do możliwości naszego aktu pozna-
nia, skazania na empirię i sensualizm... Moc tu
interpretacji... Jesteśmy tymi, którzy miotają? Może
jednak kamieniem? A może szybą? Co jest po dru-
giej stronie lustra? - pyta Alicja w krainie czarów.
Z tymi pytaniami ciekawie zestawia się zdjęcie
autora na stronie czwartej okładki, poeta jakby
w roli maga, sztukmistrza. Kusi, by książeczkę obu
twórców ująć w europejskiej tradycji ikonograficz-
nej. Prof. Kazimierz Wiśniak, wybitny malarz
i scenograf, swymi pracami nawiązuje być może do
księgi Cesare Ripy, zatytułowanej „Ikonologia”.**

Oto fragment tekstu ilustrującego w tej
księdze alegorię np. „chuci” z dzieła Cesare Ripy:
*Siedząca kobieta, przystrojona lubieżnie, wsparta
na lewym łokciu. / W prawej dłoni trzyma skorpio-
na, / obok siebie ma rozpalonego żądzą capa
i winorośl z paroma gronami. Piero Valeriano
twierdzi w ks. 16, że skorpion oznacza Chuc, co*

„bardzo być może, jako, że
części wstydlive ludzkiego
ciała są poświęcone przez
astrologów skorpionowi. (...) podobnie przez capa
rozumie się chutliwość, ponieważ w dziełach wene-
rycznych zwier to bardzo mocny i nad wyraz do
tych spraw skłonny”.

Zechce usprawiedliwić ten przydługi cytat,
autor „Dziesięciowiersza” - bibliofil, kolekcjoner...
Nieopisane są tajemnice ksiąg. Czyż Umberto Eco
nie opowiada nam o kartach trującej książki? Czyż
w Pradze nie przechowują Księgi Rudolfa zapisanej
tajemnymi znakami i rysunkami, których nikt dotąd
nie odczytał?

*Sławomir Krzyżka - „Pękające szkło Dziesięcio-
wiersz”, ilustracje: Kazimierz Wiśniak Wydawnictwo
Vandre, Kraków 2022.*

Nagy Koppány Zsolt

Stacje ludzkiego sprzeciwu

Lubię książki dwujęzyczne i chętnie kart-
kuję je nawet wtedy, gdy danym językiem akurat
nie mówię. Muzyka obcego języka, jego smak
i pulsacja przenika teksty, a przy wierszach staje
się właściwie nie do zastąpienia. Dlatego z radością
wziąłem do ręki tom Konrada Sutarskiego „Stacje
ludzkiego sprzeciwu”, zawierający eseje skupiające
się z historycznej perspektywy na obawach o dwa
narody, polski i węgierski oraz o Europę, przy tym
przynosi wiersze o losie, czasie, pamięci, o znacze-
niu ojczyzny - jak możemy przeczytać na samym
ich początku: „Wiersze w tym tomie zamieszczone,
pisane od roku mojego debiutu literackiego (1956)
są przykładami moich odpowiedzi na przedstawione
w esejach wyzwania.”

Konrad Sutarski, polski poeta, eseista uro-
dził się w 1934 roku w Poznaniu, od 1965 roku żyje
w Budapeszcie, od roku 1994 jest obywatelem
także węgierskim. Współzałożyciel poznańskiej
literackiej grupy „Wierzbak”, jednej z najważniej-
szych polskich ugrupowań poetyckich pokolenia
1956, a na Węgrzech pierwszy, trzykrotnie wybra-
ny przewodniczący Ogólnokrajowego Samorządu
Mniejszości Polskiej, inicjator i założyciel oraz
pierwszy dyrektor Muzeum i Archiwum Węgierskiej
Polonii. Autor ponad trzydziestu książek literackich
i historycznych.

Sutarski pisze w tomie, w dwóch esejach
o komunizmie, nazizmie oraz o niebezpieczeń-
stwach globalizmu, kreśląc wielki łuk historii i wy-
darzeń dotyczących dwóch wspomnianych naro-
dów, a szczególnie sympatyczne jest to, iż nie tylko
zwraca uwagę na owe niebezpieczeństwa, ale także
zarysowuje je swoimi indywidualnymi środkami
poetyckimi. Wiersze te noszą w sobie cechy cha-
rakterystyczne dla ekspresjonizmu, silnym zainte-
resowaniem historycznym. Przywodzą czytelnikowi
na myśl samego Walta Whitmana, jak też cały
szereg poetów z kręgu pokolenia Beatników –
Wiersze jego stale pulsują, przynoszą katharsis.
Poezja ta nigdy nie staje się l'art pour l'art, co
można wywnioskować już z samej dedykacji: „Tom
ten poświęcam Węgrom i Polsce, krajom i naro-
dom, które najsilniej zaangażowane były (i są)
w obronę dotychczasowych wartości europejskich.
(Cd. na str. 12)

Jednocześnie poświęcam je też moim trzem wnukom – Csánádowi, Ámosowi i Szilárdowi – bo to będzie już ich świat, który my im przygotowujemy.”

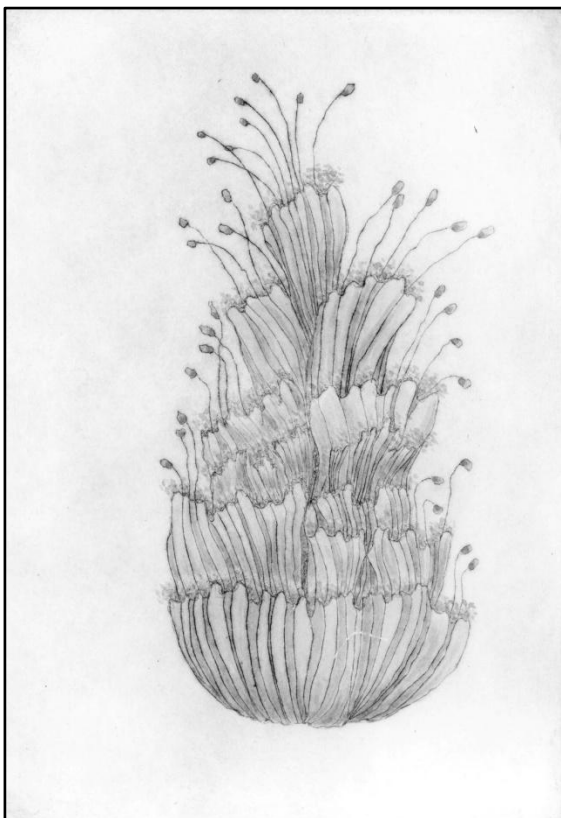
Zupełnie zdumiewająca jest jednocześnie lista tłumaczy: oto poeci, którzy zajmowali się poezją Sutarskiego przez minionych prawie pięćdziesiąt lat i na wysokim poziomie przekładali ją na język węgierski: jak Bágyoni Szabó István, Bari Károly, Cséby Géza, Csoóri Sándor, Dávid Csaba, Döbrentei Kornél, Fodor András, Kiss Benedek, Kovács István, Pór Judit, Somlyó György, Szabó Imre, Szenyén Erzsébet, Tandori Dezső, Tornai József, Virágh József, Weöres Sándor és Zsille Gábor. Powiew ich troski i uwagi translatorskiej – na które spoglądamy już prawie jak na wartości klasyczne – wyczuwalny jest w całym tekście tomu.

Chętnie zacytowałbym Sándora Weöresa, jednak ze względu na rozmiary wiersza, mogę zaprezentować tu jeden fragment wiersza „Na co gdzieś komuś” (w znakomitym przekładzie Bágyoni Szabó Istvána):

Istniał na Ziemi kiedyś złoty wiek ludzkości
zgody z naturą co przyjęła człowieka
wspominany do dzisiaj w legendach i mitach
poświadczany w pośpiewach wiatrów oceanów
zapadły jednak w mrok dziejów tak jak Atlantyda
że nawet Homer o nim tylko słyszał

Niemniej jednak, póki w zamyśleniu nad historią pracują i tworzą tacy przedstawiciele poezji, jak Konrad Sutarski, jest nadzieja – także i dla wnuków.

Konrad Sutarski: Stacje ludzkiego sprzeciwu. Wydanie dwujęzyczne. Magyar Napló Kiadó, Budapest, Akcent, Lublin, 2018.



Agnieszka Mąkinia

Wagary prawie transcendentne

A w kościele usłyszę dziś: „Mędrzy świata, monarchowie...” – pomyślała nakładając na talerz wigilijnego karpia. I dalej snuła przemyślenia.

Jem wigilijną potrawę w Święto Trzech Króli, to znaczy, że nie było... Bożego Narodzenia. Nie było go dla mnie. Dzieciątko prawdopodobnie czasami robi wagary w życiu niektórych ludzi, bo rodzić się co roku dla zbuntowanych, już nie młodocianych, to mogłoby się okazać ponad Jego siły. Nawet Je rozumiem. Tyle lat tak samo, to jest raczej męczące. Pewnie tak, jak dla mnie praca, z której przed chwilą wróciłam. Nie jest łatwo wstawać z uczuciem wyczerpania, robić swoje i wracać jeszcze bardziej bezsilnym.

A mieli uczynić 6 stycznia dniem wolnym. No tak, tylko współcześni quasi-mędrzy nawet tego nie potrafią.

Pewien niby-prorok śpiewał w latach 90-tych "... a to wszystko ch...". Nie wiem, czy miał świadomość, że śpiewa o rzeczywistości roku 2009.

Ponure myśli przerwał gwizd czajnika. Poszła do kuchni i wróciła z kubkiem herbaty. Usiadła, postawiła kubek i kontynuowała mroczne rozważania.

Może teraz trochę odreaguję. W końcu „spirit” czyli „duch”, więc podnosi duchowość. W herbacie go nie widać. Ot i co. Doskonale, że ktoś kiedyś wpadł na pomysł produkowania tego dobra. Fakt ten doprowadził do drobnej korekty fragmentu biblijnej Księgi Rodzaju, który to urywek w wersji „pospiritowej” brzmi następująco: „Na początku Pan Bóg stworzył świat, potem stworzył człowieka, a następnie człowiek wymyślił alkohol, bo w świecie stworzonym przez Boga i przetworzonym przez człowieka na trzeźwo żyć się nie dało.”

Na nietrzeźwo jakoś ciągnę ten wózek przez dobrych kilka dziesiątek. Dziwny mam przy tym status. Dziś na szczęście o takich jak ja mówi się, niekiedy wprost z dumą, „single”, bo jeszcze niedawno, oceniając po tym, czego nie widać, społeczeństwo by orzekło: „stara panna”. A gwoli wyjaśnienia ani ja w końcu stara, ani panna.

Tu uśmiechnęła się do wspomnień o pewnej młodziutkiej, subtelnej osobie płci jej przeciwnej, która ponosi przynajmniej częściową odpowiedzialność za jej obecne położenie.

(A dzwony zabiły: „Miserere...”).

Dokończyła karpia, wypila herbatę i poczuła się nagle bardzo zmęczona. Zapadła w półsen z ostatnią myślą, że chyba jednak nie pójdzie do kościoła, bo zaśnie głęboko i prześpi do kolejnej Wigilii. Może wówczas będzie jej dana szansa trzeźwego spojrzenia na świat, a Dzieciątko przyjdzie i do niej, bo chociaż raz zwagarowało, to kocha ją, mimo wszystko...

Olga Lalić-Krowicka

Milczenie szumiącej krwi

kiedys jak usłyszysz
jak dwa hiacenty wyrastają z kałuży krwi
pomódl się za opętanych
a między nimi ja stoję
w czarnej sukni przywołuję
upadłych aniołów
niech je Bóg uzdrowi
mnie i ciebie też
na wieki wieków myśli
które ci wysyłam z kałuży
wiatr rozwiewa każde echo słów
rozkwitają
jak ciernie na głowie

unoszą się baletnice Boga
na taniec zamarzłego nieba
jak granatowy kryształ
nasłuchując jak kałuża
przeistacza się w rzekę życia
już nic nie powiem
gdy umierają boginie przeszłości
wiatr rozwiewa popiół z emocji
po wyschniętym morzu nadziei

znów widzę białe obłoki
zapadające się poprzez pola krzyżów
do otchłani straconych dusz
tylko raz z duszy wyrastają kwiaty

Kalina Izabela Ziola

Tajemnice błękitnej pełni

pierwsza była szalona namiętna nieokiełznana
pełna gorących nocy i kolorowych dni
zaplątana w podwiązki koronkowe gorsety
lalki wudu
supelki rozsypała się w końcu jak popiół

druga była rozsądna dostojna pięknie złożona
pełna słów kwiatów przysięg i ukrywanych
kłamstw
z pozoru idealna w środku brzydka i brudna
wyrzuciłam ją wreszcie na śmietnik

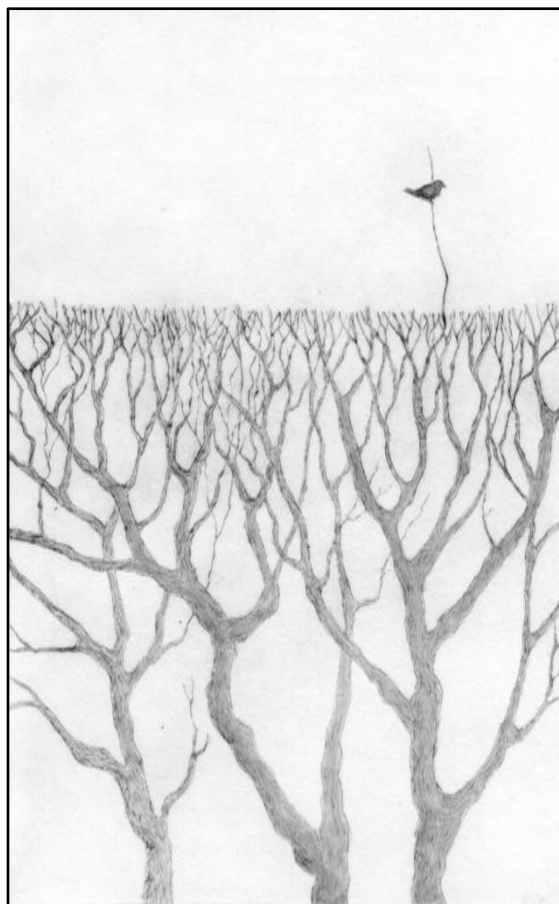
trzecia jest jak iluzja przedziwna pełna
tajemnic
jak spełnione marzenie lub zapomniany sen
twarz jak ze starych płócien poezja w każdym
liście

długie bezsenne noce obietnic cichy szept
może zostanie ze mną na zawsze

Maria Ciążela

życie

przystaje na chwilę
do chwili
oczekiwanej i pożądanej
mieści się w ramach
i w głowie
pozwala się zagłaskać
prawie
skroić na miarę
i za nogi złapać
by po chwili
odwrócić kartę
i
po angielsku
wyjść bokiem



Anna Landzwórczak

W kręgu klubowych piór

Zachwycona światem dookolnym

Wydany w 2022 roku poetycki debiut Magdaleny Blumczyńskiej „Ku niebieskim łąkom” jest ilustrowany zdjęciami i grafiką poetki. Notka na okładce książki przedstawia autorkę jako członkinię Wielkopolskiego Towarzystwa Genealogicznego „Gniazdo”, autorkę artykułów zamieszczanych w Rocznikach Towarzystwa i współautorkę historycznej publikacji. W kręgu jej zainteresowań są podróże, fotografia, no i poezja. Można się domyślać, że poezja towarzyszy jej od dawna, gdyż niektóre wiersze są datowane i wskazują na to, że muza poezji przysiadła na ramieniu poetki już w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

Przedstawiony tomik podzielono na siedem części o różnej objętości, od 24 do 2 wierszy. Nie wiem, czy było to konieczne, czy nie wystarczyłoby oddzielić wiersze zbliżone tematycznie jedynie za pomocą fotografii lub grafiki.

Część pierwsza, zatytułowana „Pór roku poetyckie impresje” to zapamiętane, zaobserwowane obrazy. Metaforyczne drzewa „strojne w koronki”, „gile jak krople krwi”, „kumulusy bzu” pojawiają się w lirycznych wierszach w sposób naturalny. Poetka zatrzymuje się, jest w centrum przyrody, która zmienia się cyklicznie, jak pory roku. Jednak bez żalu wchodzi w „listopadowe szarości”, bo znów będzie czekać na „jesień złocistą. Kolejną”. Wiersz „Wyciąg na Szrenicę” napisany w roku 1969 pozwala uznać, że zawsze świat zachwycał i zdumiewał poetkę obdarzoną niezwykłą wyobraźnią. Tu „zawieszona między niebem a ziemią” wsłuchuje się w ciszę, innym razem obserwując spadającą gwiazdę „zapomina o życzeniu”. To są jej „małe szczęśliwości” i czerpie je z tego, co ma wokół siebie.

Tytuł drugiej części „... a świat takim pięknem jest” sugeruje kontynuację podjętych wątków. W istocie, tu również znajdujemy „tęczę na skrzydłach ważki”, „modlitwę ptaków” i inne urocze metafory. Są też obrazki z dalekich podróży, pełne smaków, kolorów, zapachów. Szczególną wymowę ma wiersz pt. „Cywilizacja”, który proponuje zabieganiem czytelnikowi głęboki oddech, bo „poza miastem las szumi jak zawsze”.

Część trzecia pt. „Erotyki” otwiera wiersz napisany przez młodzieńką wówczas poetkę, która poznaje piękno miłosnych uniesień. Autorka pielęgnuje te uczucia i poetka czy też róża w „Tryptyku z różą” (s.57) mówi „o poranku czekam na twoje wargi zbierające krople rosy”, „wieczorem narzmiem aksamitem i zapachem”. Wiersze są zapisem chwil ulotnych, ale niezmiennie pięknych, „nawet w ulewę spacer jest piękny”. Chwil, które warto zapamiętać.

Króciutka czwarta część „Morze i ja” sugeruje, że pobyt nad morzem jest dla autorki swoistą terapią bo „Každy odpływ zabiera stresy. Przyptyw wprowadza spokój i błogość”. Nieustający zachwyt, zadziwienie zjawiskami i zatrzymanie ich w sobie.

W piątej części pt. „W drodze za horyzont” pojawia się bunt, gdy „bujająca w obłokach” po-

winna zejść na ziemię, ale nie chce być „bibelotem na półkach”. W wierszu „Wyrok” (s.88) poetka pisze „Zamykam w sobie Nerwy i strach, Ubieram twarz w uśmiech”. W tych wierszach więcej smutku, nostalgii, lecz wydaje się, że uśmiech pomaga poetce przetrwać najtrudniejsze chwile („Krople”, „Pożegnanie Verbeny”).

Kolejna część, szósta, to haiku. Z założenia haiku zapisuje ulotne chwile, obserwacje, związane z naturą i porami roku. Autorka już wcześniej pokazała, że są to bliskie jej tematy. Także i w tych krótkich wersach potrafi się zatrzymać i zachwycić. Jestem zwolenniczką zapisu haiku 5-7-5, tego mi tu brakuje, ale to tylko forma. Haiku Magdaleny Blumczyńskiej bronią się treścią.

Ostatnia, siódma już część to dwa wiersze poświęcone walczącej Ukrainie, oba w tłumaczeniu na ukraiński Natalii Rostowcewej. Wiersze przepełnione bólem, współczulnym z kobietami i dziećmi, „z ciałami jak pola bitewne bez chwały”.

Czytelnik wierszy Magdaleny Blumczyńskiej ma możliwość zatrzymać się w codziennym biegu, nie wiadomo dokąd i nie wiadomo za czym. Zatrzymać i zachwycić, jak poetka, światem dookolnym. Być może zdolność do zachwyty pomoże przetrwać trudne chwile.

Te wiersze zdają się być obłokami zawieszonymi w przestrzeni po to, by się w nie wtulić i utulić.

Magdalena Blumczyńska „Ku niebieskim łąkom”, Drukarnia Sprint, 2020 r.

Kim jestem?

Stanisław Romaniuk już od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku zaznacza swoją obecność w literackich kręgach Poznania. Poeta, autor krótkich form prozatorskich i bajek dla dzieci.

„Na krawędzi ciszy” to tekst prozatorski, w którym autor prowadzi rozważania nad ludzką egzystencją. Stanisław Romaniuk stawia pytania, które pewnie większość myślących ludzi sobie stawia. „Kim naprawdę jesteśmy, z jaka misją pojawia się na tej ziemi, w tej przestrzeni i w tym czasie?”. Słowo „jutro”, „jakie jest, kiedy i skąd ono przyszło do naszego języka, co niesie dla nas?”. Stanisław Romaniuk rozważa problemy egzystencjalne „zanurzony w wielkiej Ciszy” wyobraźnią wędrując podziemnymi tunelami, penetrując zaprzęte obrazy, opiera je na wierze w Boga, w którym wszystko się zawiera. Dociekania Romaniuka nie dają odpowiedzi na postawione pytania, bo też i takich odpowiedzi nie ma. Z jaką misją nas postawiono na tej Ziemi i w tym czasie? Może lepiej nie wiedzieć, bo dzięki temu nasze życie jest ciągłym poszukiwaniem i odkrywaniem.

Ale Romaniuk pisze też o innych sprawach. Oto w tekście „Sny na jawie III” przedstawia obraz powojennej wsi na kresach wschodnich. Opisuje wiejskie tradycje i obyczaje związane z wypiekaniem korowaja, dla młodych w dniu zaślubin. Przedstawia zwyczaje wielkanocne, a więc święcenie potraw, zbieranie bazi na palmy, gonitwy z wierzbowymi wtkami. Jest to opowieść snuta spokojnym, niemal tęsknym tonem.

W poezji, z którą miałam okazję się zapoznać, Stanisław Romaniuk podejmuje tematy bieżące, społeczne. Wiersz „Modlitwa za Matkę Polkę” odczytuję jako apel „Do Ciebie Ojczy” o godne życie kobiet w naszym kraju. Wiersz kończy Coda. Archaniół Michał ma być posłańcem i zanieść pro-

blem przed Boski Trybunał. Wiersz jest dość długi, lecz wypełniony treściami poruszającymi sumienie czytelnika. Można się nie zgadzać z jasnymi do odczytania poglądami autora, ale nie da się być na nie obojętnym.

Z kolei wiersz „Grzybobranie” pozornie jest plastycznym obrazem zbierania grzybów, pisanych tu z dużych liter, a więc traktowanych personalnie. Ale jednak, grzyb usuwany nożem z „krwiobieg grzybni”, muchomor kopniakiem roznoszony na strzępy to jak gwałt zadawany żywym organizmom. Jest to podejście do tematu dość osobliwe. Wiersz bez tytułu „Kopuła nieba...” to apel przeciwko zatrucaniu Ziemi i powietrza, którym oddychamy. „Znikamy w smogu lepkiej mgły” puentuje autor.

Niewątpliwie z wąskiego wycinka poezji Stanisława Romaniuka wyłania się portret poety walczącego słowem, poety podnoszącego sprawy ogólnoludzkie, często podniosłym tonem. Wspomniane przeze mnie teksty Romaniuka potracają czułe struny czytelnika, nie można przejść obok nich obojętnie. A przecież to tylko niewielki wycinek dorobku autora.

Między rzeczywistością i kreacją

Małgorzata Łyssowska- Szczęsna od młodego zachwyty poezją, poprzez recytację, odtwórczą pracę nad słowem, naturalną kolejną rzeczą zajęła się pisaniem wierszy. Pierwsze powstały już w szkole średniej, potem nie było czasu i odpowiednich warunków, aby ten dar pielęgnować. Teraz pisze, zapisuje, poprawia, nieśmiało daje do druku w pismach literackich.

Wiersze Małgorzaty to na ogół zapis jej osobistych uczuć wobec spraw otaczającego świata. Poznałam jedynie wąski wycinek twórczości autorki, trudno więc o całościowe spojrzenie. Tym bardziej, że wiersze dotykają różnych tematów i różną mają konstrukcję.

W kilkunastu wierszach wiele się dzieje, są bardzo dynamiczne. Przykładem niech będzie „Ojciec”, który „zataczał się pod wpływem”, a gdy się wyprostował i trzeźwo spojrzął na tłum, to „przeganił, złorzeczył, ślepiami świdrował ostrych kamieni deszczem gradem słów ciskali resztki cięli...”. Wiersz spuentowała autorka „usiadł zasnął na ławeczce i ... i Cóżś sobie”. To sprowadza wewnętrzną walkę, życiowy dramat do rezygnacji, pogodzenia z losem. Albo wiersz „Pokój z Wami (Panu M), w którym pisze „ludzie kleszcze teraz i stamtąd jeszcze wypełzający zombi wskakują osaczają...”, by zakończyć łagodną puentą „Jutro wymalujesz pokój co by bez Ciebie”.

Autorka przedstawia też nostalgiczne obrazy pojawiające się w umyśle, gdzie ćma (kobietą?) ubrana i tańcząca tak, jak chce mrok jest tylko Królową nocy („Melancholia”). Poezja Małgorzaty opisuje tęsknoty. Własne, doświadczone, zasłyszane, czy też te, których może się domyślać obcując z innymi ludźmi. W wierszu „Koraliki” zbierane na „zaczarowaną godzinę”, w obrazie domu „wystrojonego w bluszcz”, gdzie teraz „szczeka przeszłości pies przy strojnym płocie skamli” („A cóż... ważniejszego”), za tamtą sobą, której już nie ma, bo tylko „jest czas... przemija a Mickiewicz trwa” („Pomnik”), za tym, aby unieść się, jak mewy i „poskrzydłować z nimi”, aż Słowacki otworzy „oczy kamienne” („Do”). Tęsknotę czuje czytelnik w wierszu „Byłam w bajce...” , w której zdarzyło się wiele

dobrego i pięknego, niosąc radość, bo „Rozkwitał Ogród – Człowiek”.

W wierszu „Raj” jest i doświadczenie egzystencji, bo przecież „bezmiar bezkres wyznaczający rytm ludzkich żyć przeżyć od zarania po teraz”, ale także, wspomniana wcześniej dynamika „gruchaniem świergotaniem cykaniem brzęczeniem szelestem ciszą ruchem bezruchem”.

Wiersze Małgorzaty wymagają wnikliwego spojrzenia. Czasem sprawiają wrażenie, jakby urwał się temat i pojawiał następny, ale to tylko pozory. Jest ciągłość w tych strofach, lecz coś zostaje w domyśle. Bywa też, że zmienia się podmiot liryczny i nie wiadomo, czy poetka mówi o własnych, czy cudzych doświadczeniach, a może je umiejętnie splata.

Można polemizować z budową wierszy, szczególnie często używanym wielokropkiem. Pojawia się on tam, gdzie myśl powinna pozostać chwilę zawieszona, lecz może wystarczyłoby przejść do kolejnego akapitu, albo użyć innych składniowych środków wyrazu? To wybór autorki, to jej wiersze, które poruszają i pozostawiają niepokój.

Ares Chadzinikolau

Dziadek mówił

To co, że w kieracie Syzyfa żyjemy
I jak Tantal sięgamy po uciekające życie.
Prawda ciąży kamieniem u szyi,
Jak epitafium u ludzi.

Zgubiliśmy wrażliwość
I niewielu czyta wiersze.
Ale wystarczy właściwa myśl,
By ogień z wiatru wykrzesać.

Dziadek mówił:
Bóg odbiera chwałę,
Gdy przestajemy być spoiwem ziemi i nieba.



Paweł Krupka

Poznań – stolica polskiego slamu

Historyczna stolica Polski stała się także stolicą jednej z najmłodszych i najnowszych form publicznej prezentacji literatury – slamu poetyckiego. Ta coraz popularniejsza, zwłaszcza wśród młodej publiczności, platforma scenicznej promocji żywego słowa, mimo zaledwie dwudziestoletniej obecności na polskich scenach, zdołała się zorganizować znacznie sprawniej i efektywniej, niż reszta polskiego życia literackiego, tonącego od dziesięcioleci w inercji słabych, skłóconych i mało wydolnych stowarzyszeń i organizacji. Efekty tego zjawiska są widoczne gołym okiem choćby w poznańskim Centrum Kultury Zamek, gdzie od siedmiu lat w sierpniu odbywają się Ogólnopolskie Mistrzostwa Slamu Poetyckiego. Z dumą i satysfakcją piszę o tym na łamach Protokołu Kulturalnego, który od chwili swego powstania był przez wiele lat związany z tym właśnie ośrodkiem kultury przez osobę swego twórcy i redaktora Jerzego Grupińskiego, prowadzącego w Zamku przez 25 lat Klub Literacki.

Poznań stał się stolicą polskiego slamu, a Zamek Cesarski jego głównym salonem, za sprawą fundacji KultuAkcja, którą stworzyła najaktywniejsza wśród promoterek polskiego slamu, Dagmara Świerkowska-Kobus, zajmująca się sladem także naukowo. Niedawno obroniła na Uniwersytecie Adama Mickiewicza pierwszą w dziejach polskiej nauki pracę doktorską poświęconą tej formie prezentacji literatury. Jednak wyobraźnia i niespożyta energia tej młodej humanistki wyraziła się najpełniej w niezwykle sprawnej organizacji krajowego życia slammerskiego, bez potrzeby wtłaczania go w zbędne i krępujące struktury formalne. Piszący literaci, mający swoje przynajmniej trzy ogólnokrajowe stowarzyszenia, przykładnie podzielone na liczne lokalne oddziały, dotąd nie potrafiły zorganizować żadnego spektakularnego, ogólnokrajowego wydarzenia promocyjnego. Slamerstwo nie ma sformalizowanych struktur, działa w terenie przy pomocy zupełnie niezależnych od siebie i bardzo zróżnicowanych pod względem prawno-formalnych gremiów. W jednych miejscach są to fundacje lub stowarzyszenia, w innych zupełnie nieformalne grupy, jeszcze gdzie indziej pojedyncze osoby działające w ramach miejscowych instytucji kultury.

A jednak od paru ładnych lat społeczność slammerska potrafi wzorowo zorganizować swoje życie artystyczne w skali całego kraju, którego efektywnym zwieńczeniem są doroczne turnieje mistrzowskie na scenie poznańskiego Zamku. W miastach i regionach organizowane są na wiosnę turnieje eliminacyjne, w których każdy ośrodek wyłania swojego kandydata do turnieju mistrzowskiego. Środowisko slammerskie stworzyło też tzw. paszport slammerski, umożliwiający najbardziej aktywnym artystom, którzy w ciągu sezonu zaliczyli najwięcej występów i sukcesów, udział w turnieju finałowym poza regionalnymi eliminacjami. Slamerstwo bowiem, to społeczność aktywna i ruchliwa. Wielu artystów jeździ po Polsce, by wystąpić

gościnnie na innych scenach, dać się poznać nowej publiczności i spotkać się z miejscowymi koleżankami i kolegami.

Tak więc polskie życie slammerskie od siedmiu już lat przeżywa swe wielkie święto w połowie każdego sierpnia na poznańskim Zamku. Od kilku lat w turniejach mistrzowskich uczestniczy szesnastka artystów – tuzin wyłoniony w regionalnych eliminacjach, zaś pozostała czwórka to najaktywniejsi spośród legitymujących się slammerskimi paszportami oraz zwycięzcy turnieju ostatecznej szansy, który odbywa się na kilka dni przed finałem mistrzostw Polski. W Ogólnopolskich Mistrzostwach Slamu Poetyckiego nie ma faworytów, ani z góry przegranych. Łaska publiczności na pstrym koniu jeździ, a przybyła do Poznania czołówka co roku się o tym przekonuje. Każde z dotychczasowych mistrzów i mistrzów Polski pochodzi z innego miasta i nikomu z nich nie udało się dotąd obronić tytułu. Również pod względem płci, do ubiegłego roku zwycięstwo przypadało po równo paniom i panom. W tegorocznych nieparzystych mistrzostwach, szalę na stronę płci ponoć brzydszej przechylił pierwszy mistrz z Warszawy. Został nim jeden z pionierów polskiego slamu Ptak Piwniczny, dla którego ten sukces jest ukoronowaniem długiej i pięknej kariery.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że slamerstwo, choć przecież charakter twórczości tego środowiska w istocie nie odbiega zbyt od pisanych i wydawanych w postaci książkowej lub internetowej krótkich form, stanowi na rozproszonej, przegniłej i zamydlonej mapie polskiego życia literackiego, jakąś jasną i zdrową sieć, tętniącą życiem i pomyślnie się rozwijającą. Trudno też oprzeć się pytaniom o istotę i przyczyny tego stanu rzeczy. Nie jestem psychologiem, ani socjologiem, więc nie śmiem nawet dociekać właściwych odpowiedzi. Niemniej, jako sportowiec i członek Rodziny Olimpijskiej, domyślam się, że na żywotność i sprawność organizacyjną życia slammerskiego, może dobrze wpływać panujący w nim duch sportowej rywalizacji. Duch świeży, szczery i prawdziwy, bowiem nieskażony dążeniem do zysku pieniężnego i masowej popularności, którym przeżarty jest fizyczny sport wyczynowy. Sceniczna rywalizacja slamerów i slammersów ma w sobie owego szlachetnego ducha walki sportowej, gdzie nie idzie o łupy, lecz o satysfakcję i dobrą zabawę w gronie ludzi, którzy ufnie i chętnie poddają swój dorobek artystyczny pod osąd anonimowej publiczności.

Piszącemu te słowa z dalekiej Warszawy, ale jestem przekonany, że również redakcji „Protokołu Kulturalnego”, który wyrósł i dojrzał na tym samym Cesarskim Zamku, na którego scenie rywalizują co roku o Ogólnopolskie Mistrzostwo Slamu Poetyckiego, wypada życzyć fundacji KultuAkcja i Centrum Kultury Zamek, aby Poznań umacniał się jako stolica polskiego slamu, a doroczne mistrzowskie turnieje przyciągały coraz liczniejszych sympatyków scenicznej rywalizacji artystów żywego słowa, mających do dyspozycji jedynie scenę i mikrofon, bez akompaniamentu muzycznego, kostiumów ani rekwizytów. Historyczna stolica najstarszego regionu Polski, który zapewnił jej początki państwowości, jest też stolicą najmłodszej i najbardziej dynamicznie rozwijającej się formy promocji krótkich form literackich. W ten symboliczny sposób ciągłość ojczystej mowy i kultury wyraża się w czasie i przestrzeni, niech więc tak pozostanie.

Sławomira Sobkowska-
Marczyńska

* * *

Andrzejowi Sikorskiemu

w słowach znalazłeś schronienie
były z Tobą
w Tobie
z lekkością pióra chwytałeś obrazy

czytałeś ziemię jak starą księgę
pełną nieprawdopodobnych historii

szastałeś dobrem
aż
pękło Ci
serce

teraz już wiesz
co znaczy niebo

Tadeusz Blumczyński

* * *

Andrzejowi Sikorskiemu

W niezwyklej sali wypełnionej wierszem
przygarbieni, skupieni siedzimy pod ścianą
cichutko, teatralnym szeptem
roztrąsamy znaczenie słowa "przestrzeń".

Źle zrozumiane, nadużywane, mocno zgrane,
pretensjonalne...

Niespodziewanie nadeszła ta ostatnia,
o której wtedy mowy nie było.
Niepojęta, złowroga, kojąca, nieznana
więc bezdyskusyjna.

Niewarta rozmyślań, bo kto wie jak tam jest.

Krystyna Wojciech-Ratajczak

Pieśń o Ukrainie

Mała dziewczynka
Jak brzołka wiotka
Śpiewa wielką pieśń
Jej cienki głosik przypomina ptaszka
Nuty niby stadko jaskółek
Wędrują w cztery strony świata
Niosąc z szumem skrzydeł
Prośbę o pokój dla Ukrainy
W jej mały jeszcze świat
Wpełza ryk przemocy
Więc zamyka uszy i oczy
Bardzo chciałyby być niewidzialna
I lecieć prosto w słońce
I jest jakby piękniej
A wokół milczą dęby i buki

Oksana Stadnyk

PROTOKÓŁ
kulturalny

Nr 86/2023

Wspomnienia

Gdzie przechowuję wspomnienia swoje?
W pakunku gdzieś w pokoju...
A może
W strzesze starej chaty...

A może
W dziupli tej czereśni
Rozgałęzionej
Którą kochał mój tata...

A może
W ogródku kwiatowym
Nad tym
Brzegiem stromym,
Gdzie są aksamitki, barwinek
I mięta...

Lub za stodołą
Gdzie się ukrywałam...
Gdzie wśród traw wysokich
Stokrotki wzrastały...

Albo w wieńcach
które spletałam
Z chabrów i maków...

A może gdzieś między ścieżkami
Wąskimi zakurzonymi
Które deptałam
Stopami bosymi
A wiatr rozwiewał mi włosy...

Więc tak dobrze
Tak po prostu żyło się...

Wtedy śniłam,
Marzyłam...
Nawet się nie spodziewałam
Że życie jest takie cierniste...

Gdzie więc przechowuję wspomnienia?
Najwyraźniej w dzieciństwie

Sławomir Krzyśka

Senecta

Na progu starości kamienieją serca
i cisza w dłoniach

Skronie pokrywa czas
mierzony kolorem jesieni

Lecący na niebie list
nie uniesie żalu

Gasną sny
w kąciakach ust zastygła gorycz

Jerzy Grupiński

Z flaszką na Belmontu łonie...

Autor „Wileńskiej przygody” przypominający się nam ostatnio jako współinicjator wznowionych „Światowych Dni Poezji”, jest postacią znaną na literackich drogach i ścieżkach. Tłumacz, publicysta, poeta, organizator międzynarodowej współpracy literackiej. Także autor piosenek, artysta estradowy, występujący ze znanymi zespołami. Związany przede wszystkim z greckim obszarem językowym. Z profesji dyplomata (Grecja Ukraina, Włochy, Litwa). Po latach, gdy znów przecinają się nasze drogi, trudno mi nie wspomnieć stypendialnego pobytu na Rodos, a przede wszystkim naszych wędrowek między Atenami i Salonikami. Wieczory autorskie, także i ten, w którym mieli mi towarzyszyć dwaj greccy poeci. Okazali się nimi Nikos Chadzinikolau i jego syn Ares. Objęli, ku mej radości, prowadzenie spotkania śpiewając na głosy i tańcząc między kawiarnianymi stolikami. Rychło i publiczność śpiewając, tańcząc, dołączyła do spektaklu.

Ale idźmy do książki... Jaka to „Wileńska przygoda” spotkała Pawła Krupkę? Daleko jej do bedekera oprowadzającego po ulicach i murach Wilna, bo otwiera ją „List miłosny do miasta”, zapowiadający (piórem Biruté Jonuskaité) własną, poetycką wizję magicznego miasta: „przemykające wśród czerwonych dachówek zielone gałęzie drzew, dziedzińce uniwersytetu, szczyty kościołów, ich podziemia i pobrzmiwające w nich wciąż dawne pieśni, a także różnobarwny targ...”. Na „Wileńską przygodę” zapisaną w języku polskim i litewskim składa się pięć rozdziałów: „Wileńskie ABC”, „Wileńskie klepsydry”, „Wileńskie sonety”, „Wileński zaśpiew”. Książkę zamykają piosenki z nutami, poświęcone Wilnu, lokalnej tradycji. W cyklu „Wileńskie ABC” tekst pt. „Cela Konrada” kojarzący się autorowi z celem – ceną. Rozegrany literą „M” utwór o Adamie Mickiewiczcu... Z kolei „Rossa” organizuje tekst powtarzającym się R. Podobny zabieg prezentuje „Sarbievius” poświęcony Maciejowi Kazimierzowi Sarbiewskiemu, autorowi „Lyricorum libri”, książce ongi bardzo popularnej w całej Europie, mającej kilkadziesiąt wydań. Piękne przypomnienie polskiego neolacińskiego poety, ozdobionego przez papieża złotym wieńcem laurowym, na rzymskim Kapitolu...

SARBIEVIUS // STĄD / SARMATA / SERC PODBIŁ
KROCIE / SARBIWA / SYN W WILNIE BOWIEM /
SŁOWA KUNSZT UKSZTAŁTOWAŁ / STROFY ŁA-
CIŃSKIE / SŁAWĘ DAŁY ŚWIATOWĄ / SŁOWIAŃ-
SKIEMU ODY MISTRZOWI

Paweł Krupka jak barokowy poeta, zmienia kształt, grafikę tekstu. Są tu więc trójkąty – klepsydry, rozchwiane kwadraty. Litery odzyskują swą rolę graficzną – wybijane, powiększane, powtarzane. Wspomniana autorka wstępu, komentuje teksty następująco: „W Abecadle podstawową zasadą strukturalną są aliteracje, pięć Klepsydr odnosi się do pięciu historycznych postaci mówiących pięcioma różnymi samogłoskami (a może to osobliwa ofiara samogłosek?), w Sonetach zaś frazy przy-

pominające polski dziewiętnastowieczny romantyzm wieku uzupełnia codzienne techniczne słownictwo XXI wieku”. „Wileńskie klepsydry” poświęcił autor m.in. Adamowi Mickiewiczowi, Czesławowi Miłoszowi, budując teksty – oczywistym kształtem piaskowego zegara.

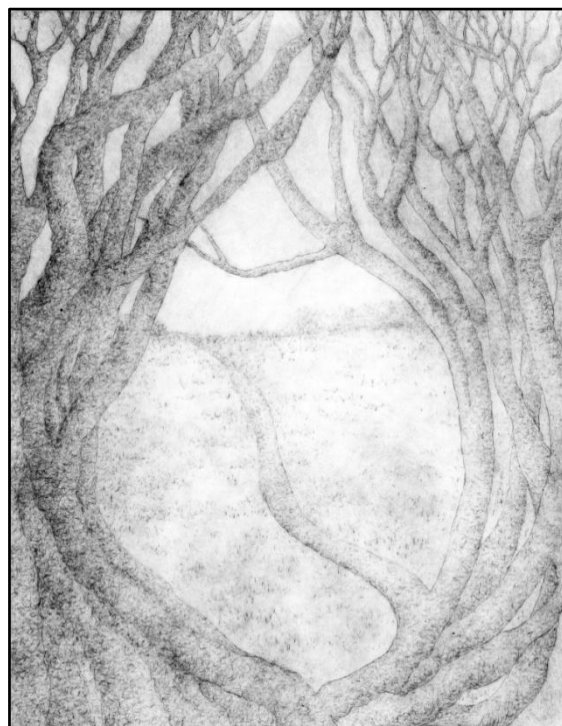
U CIEBIE DUCH MIŁOSZU
Z TŁUMU WILNIUKÓW
TYŚ URÓSŁ
PULS
GENIUSZU
NAD GROBU MURY
UPARTY W MYŚLI BÓLU

Cykl sonetów zawiera utwory pisane klasycznym kształtem tego gatunku literackiego, ale treścią idące do naszej współczesności.

Wilno za szybą // A może byśmy, tak jak Filareci, / Odbili flaszkę na Belmontu łonie / I aplikacją przygniezione skronie / Z krat wirtualnej uwolnili sieci?

W „Wileńskiej przygodzie” Pawła Krupki szczególnie zajęły mnie te wiersze, które tradycją sięgając barokowego konceptu, wiążą się z poszukiwaniami twórców poezji konkretnej, tzw. graficznej. To poezja też wizualna, przypominająca m.in. eksperymenty „Biura Poezji” Andrzeja Partuma oraz próby Mariana Grześczaaka. Nieobce są też poecie zabiegi lingwistyczne wobec tekstu. „Dziś niepotrzebni są światu poeci” pisze autor „Wileńskiej przygody”. Jednak po zapoznaniu się z książką gotowi jesteśmy spierać się choćby i z tego powodu, że poeta pogodził autorskie ambicje z sięgnięciem po uwagę szerszego grona czytelników.

Paweł Krupka - „Wileńska przygoda”, Wydawca – Krajowe Stowarzyszenie Literatów Polskich, Wilno 2020.



Jan Wojciech Malik

50 lat między pędzlem i piórem

Minęło 50 lat od pierwszego pokazu moich obrazów w Galerii Akumulatory w Poznaniu. Było to 11 listopada 1973 roku. Artykuł krytyczny napisała Maria Dąbrowska, Kurator Galerii Sztuki w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Tak pojawił się w moim malarstwie fotorealizm/hiperrealizm jako pierwszy trend w Polsce. W tymże roku prezentowałem teksty i działania parateatralne na II Festiwalu Ogólnopolskim w Nowej Rudzie, gdzie otrzymałem nagrodę od wybitnego reżysera Jerzego Grzegorzewskiego.

Jubileusz 50-lecia zorganizował mój mentor poetycki Jerzy Grupiński w Klubie Literackim „Dąbrówka” w oparciu o tekst prof. Jacka Juszczaka o mojej książce pod tytułem „Malowanie słowem” (rozdziały: wiersze, teksty krytyki, obrazy) zamieszczony w miesięczniku literackim „Akant” (październik 2023). Czytałem w Klubie wiersze i prezentowałem kilka obrazów oraz tomiki poezji wydane w Wydawnictwie Artystycznym Jan W. Malik. Wieczór klubowy minął w serdecznej atmosferze. Jubilat otrzymał różę od poetki Celiny Lesiewicz, flagę z „Włódką” od artysty malarza Włodka Mazanki i oklaski od ponad 30 poetów.

Drugim wydarzeniem jubileuszowym była wystawa w Centrum Kultury i Bibliotece Publicznej gminy Suchy Las pod tytułem „Malik 50”. Namalowałem w 2014 roku obraz pod tytułem „Wejście. h. 15.45” o wymiarach 285 cm na 615 cm. Jest to stały element w bardzo żywym ośrodku kultury Suchy Las.

Zawsze starałem się malować tematy aktualne w sferze medialnej i społecznej. Moje prace dyplomowe w 1975r. były serią obrazów pod tytułem „Fakty”. I dzisiaj też maluję to co nas najbardziej stresuje - temat wojny i stan naszego życia. Są to prace z serii „Nie zabijaj” i „Pacjent”. Prezentowałem je na wystawie jubileuszowej.

Wielu oglądających lubiło moje wcześniejsze malarstwo, gdzie widać było afirmację radości i życia (pisała o tym prof. Alicja Kępińska). Czas biegnie i 50 lat też wiele zmieniło w nas i wokół nas. Ostatnie moje wiersze z tomiku „Lustra” i „Ból” to potwierdzają.

Sporo płócien białych przede mną, ale czy zdążę je zamalować...

*Jan Wojciech Malik
Poznań 5.11.2023*



Miło nam powiadomić Państwa, że w dniu 15 listopada 2023r. w Muzeum Niepodległości w Warszawie dr Jan Sęk wręczył w imieniu Kapituły prof. dr. hab. Lechowi W. Szajdakowi Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Józefa Łobodowskiego za opracowanie i wydanie antologii „Grupa poetycka «Wołyń» geneza, przedstawiciele, wiersze”. Autor antologii jest synem poety Stefana Szajdaka (członka grupy „Wołyń”), który prezentował swoją twórczość w ramach naszych imprez w poznańskim Zamku na początku lat siedemdziesiątych. Laureatowi, członkowi naszego Klubu Literackiego gratulujemy!

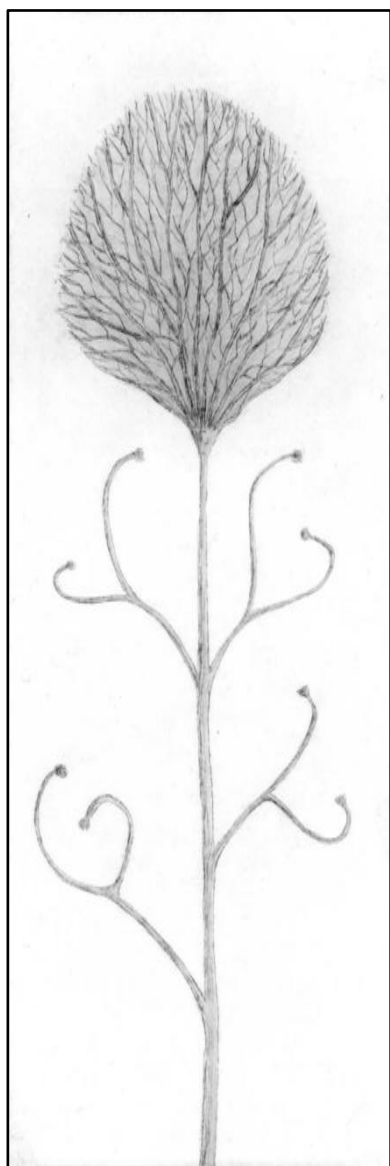
Ippolito Pindemonte

**Melancholia
(La malinconia)**

O! Melancholio! najmiłsze z stworzeń!
Życie ci całe poświęcam me.
Kto twych rozkoszy pojąć nie może,
Nie zrodzon zaznać prawdziwych, ach nie!

Prosiłem Bogów o źródło z wzgórzem,
Próśb wysłuchali — żyć będę rad.
Choćbym miał nie mieć nic, jak te róże,
Choćby się na tym kończyć miał świat.

tłum. Karol Wapniarski



Zaproszenie do almanachu

Konrad Sutarski – od półwiecza polski pisarz na Węgrzech, współzałożyciel grupy literackiej „Wierzbak” zaprasza do nadsyłania utworów poetyckich (maksymalnie 10 wierszy oraz krótki biogram) do almanachu poetyckiego zawierającego motywy tradycji europejskiej oraz chrześcijańskie akcenty.

Termin nadsyłania do 31 XII 2023 na adres e-mail: konrad.s@t-online.hu

Małgorzata Waśniewska – Frąckowiak – absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu na Wydziale Architektury Wnętrz oraz w Pracowni Grafiki Użytkowej, prowadzonej przez prof. Tadeusza Piskorskiego. Przez 25 lat uczyła plastyki w szkołach podstawowych w Poznaniu.

Uprawia rysunek, grafikę użytkową, warsztatową. Inspiracje twórcze czerpie z bogatego w formy świata natury. Pod jej wpływem tworzy własne interpretacje, impresje. Niektóre odbitki czarno-białe wzbogaca kolorem. Brała udział w wystawach zbiorowych i indywidualnych. Jej prace znajdują się w zbiorach prywatnych w Polsce, Australii, Belgii i Niemczech.

W numerze wykorzystano rysunki Małgorzaty Waśniewskiej-Frąckowiak.

Na str. 19 obraz Jana W. Malika „Pacjent”